

XXXIV OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 29 LISTOPADA 2019 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYSLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

wichry i deszcze rozczochrały słowa
dymy znad domów
świętek przydrożny idzie poprzez pola
i nic tu po mnie

Mieczysław Stryjewski
17 XII 1970



JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Bożena Ugowska

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Marek Aureliusz Karczmarzyk (Gdańsk)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Beata Kołodziejczyk (Warszawa)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Ela Galoch (Turek)

III nagroda
Hanna Dikta (Piekary Śląskie)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Rafał Lewczuk (Ożarów Mazowiecki)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Beata Kołodziejczyk (Warszawa)

III nagroda
Krystyna Lewna (Godętowo)

NAGRODY SPECJALNE

Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej
Paulina Czajkowska (Gęś)

Wyróżnienie dla twórcy z ziemi lęborskiej
Aleksandra Kalinowska (Nowa Wieś Lęborska)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Maria Kocot (Bytom)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Hanna Makurat-Snuzik (Gdańsk))

Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Krystyna Lewna (Godętowo)

NAGRODA GRAND PRIX
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

MAREK AURELIUSZ
KARCZMARZYK

ROZGRZESZENIE

Arno Willmann szedł powoli, starając się nie deptać leżącego na ulicy szkła. Właściwie ostrożność ta była zbyteczna, gdyż podkute gwoździami, górskie buty były doskonałą ochroną. Uderzyła go myśl, że nie potrafi zniszczyć żadnego kawałka swojego miasta, nawet jeśli jest nim szkło z rozbitej wystawowej szyby. Niedawno minęło dwadzieścia pięć lat, gdy przybył tutaj, lecz dopiero kilka miesięcy temu zauważył, że przestał mu przeszkadzać wiatr, który w styczniowe noce wygina szyby w okiennicach nie pozwalając zasnąć. Pamięta chwilę, gdy przechodząc w poprzek rynku spojrzał na wieżę św. Jakuba i poczuł, że Lauenburg, Lębork - jak niektórzy nazywają miasto - jest jego małą ojczyzną. Od tego czasu wychodząc rano z domu przylegającego do kościoła, uważnie przyglądał się drzewom rosnącym wzdłuż ulicy. Cieszyły go nagie gałęzie, na których dostrzegał, szczególnie po tej stronie, gdzie w lutym zaczyna mocniej świecić słońce, pierwsze załążki pąków. Przystawał, żeby dotknąć małych, nabrzmiałych zielenią zgrubień wystających nad korą. Myśl, że za kilkanaście lat, przechodząc będzie dotykał tych samych drzew, za każdym razem wywoływała poczucie stabilności. Któregoś razu uświadomił sobie, że życie człowieka zdaje się być odwrotnością istnienia drzewa. Z wiekiem drzewo staje się wyższe, silniejsze, bardziej okazałe i takim pozostaje do swojego końca. Zaskoczyło go to spostrzeżenie, czuł że jest ważne.

Kilka godzin temu wyszedł z piwnicy, w której schronił się poprzedniego dnia. Tak starali się zrobić wszyscy, którzy pozostali w mieście. Oczekiwano, że wojsko przyjdzie z przeciwnego kierunku. A tymczasem dalekie, tępe dudnienie wybuchów dało się słyszeć od strony drogi prowadzącej na zachód. Schodząc do podziemi Arno spojrzał przez ramię. Chciał zapamiętać kształt splecionych gałęzi. Kto wie, czy gdy to wszystko się skończy, drzewa jeszcze będą całe.

Siedząc w niskim pomieszczeniu, wsłuchiwał się w drżenie sufitu, chcąc odgadnąć przebieg walki. Próbował dopasować dźwięki do wspomnień z poprzedniej wojny, gdy na jego trasę zaczęły spadać pociski, wyrывая kawałki belek ze ścian okopu. Padł wtedy na dno, rozwartymi palcami przytrzymując hełm. Leżał nic nie słysząc, czując jedynie całym ciałem przywartym do ziemi wstrząsy wybuchów, wstrzymując oddech aż do widoku drżących gwiazd pod zaciskającymi się z całej siły powiekami. Zapamiętał tamten bój jedynie przez szarpnięcia, nieregularny dygot ziemi, która miotła nim bezwładnie przywartym do dna okopu, aż do chwili, gdy poczuł uderzenie w bok, po którym otworzył oczy z nagłym zdziwieniem. A potem przestał czuć cokolwiek.

Teraz wsłuchiwał się w narastające drżenie ścian, inne niż wtedy, jednostajne, niczym nie zakłócone. Po chwili usłyszał rytmiczny dźwięk metalu ślizgającego się po bruku. Domyślił się, że to czołgi skręcają w kierunku rynku. Zaczął liczyć, poruszając wargami: raz, dwa, trzy, cztery... dziesięć. Coraz dalej, nie zatrzymują się. To dobrze, może ominie ich los innych miast, do których wkraczał wróg. Uczepił się tej myśli niemożliwej. Bo dlaczego akurat Lauenburg, ze swoją solidną zamożnością kamienic miał pozostać na uboczu? Arno czekał. Po południu usłyszał dochodzące z sąsiednich ulic odgłosy strzałów: pojedynczych, chaotycznych. W nocy ucichły.

Obudził się wiedząc, gdzie się znajduje. W ciemnościach sięgnął po zapalniczkę, była na swoim miejscu w lewej kieszeni marynarki. Nacisnął na obudowę, pokonując opór sprężyny przytrzymującej wieczko. Pocierając kamień poczuł ledwo wyczuwalny zapach benzyny. Płomieniem oświetlił tarczę, była dziewiąta czterdzieści jeden. Patrząc tak przez chwilę na poruszający się sekundnik i zdmuchnął płomień. Fosforyzujące wskazówki świeciły wyraźnie. Cekał, nie mogąc podjąć decyzji, aż zielona poświata zbladła i cyfry zlały się z ciemnością. Wstał i dotykając ściany ruszył schodami do góry. Chwilę stał przy otwartej klapie w podłodze, przyzwyczajając się do światła. Rozejrzał się po sieni. Drzwi prowadzące do dalszej części domu były uchylone. Nacisnął klamkę i wzdrygnął się zaskoczony, choć przecież wiedział, że nie zostawił otwartych drzwi i był przygotowany na to co zobaczył. Naprzeciwko niego stało trzech mężczyzn w workowatych kombinezonach. Zwrócił uwagę, na jednolitą czerń mundurów, od której odcinały się jedynie niewielkie czerwone trójkąty naszyte po obu stronach kołnierza i mosiężne klamry pasów z wytłoczoną gwiazdą. Jeden z nich - chyba dowódca - miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy. Drugi, Arno odruchowo cofnął się, lecz żołnierz szybkim ruchem skierował w jego stronę lufę automatu:

- Stój, ręce do góry - w jego głosie czuć było silny, obcy akcent.

Willmann powoli uniośł dłonie na wysokość głowy, prostując przy tym palce.

- Kto ty? Mieszkasz tu? To twoje? - pytania były szybkie, każde podkreślone

ne ruchem lufy. Arno zauważył duży, okrągły magazynek, pod drewnianym łozem lufy.

- Ja tak, tak, mieszkam - starał się mówić wolno i wyraźnie - to nie mój dom. Kościoła. Ja tu tylko mieszkam.

- Znaczy ty ksiądz ?

- Nie, nie ksiądz. Jestem kościelnym. U nas księży nie ma. Jestem ewangelikiem.

- Ty w kościele do boga się modlisz ?

- Tak.

- W kościele mieszkasz, w kościele się modlisz, ty ksiądz, *jebut twoju mać*.

- Nie, nie ksiądz...

- To jest kościół ? - wskazał ręką na widoczną za oknem ścianę - I ty w nim się modlisz, śpiewasz?

- Tak, ale...

- No to ty ksiądz, *adna chujnia*. Idziesz z nami - dowódca odwrócił się do dwóch pozostałych i coś im szybko powiedział. Obaj przytaknęli energicznie.

- Weź te swoje kościelne rzeczy - mówiąc to żołnierz trącił go w bok lufą pistoletu.

- Jakie?

- Te, co do modlitwy potrzebne.

Willmann czuł w ich ruchach nonszalancką lekkość, jaką daje poczucie całkowitej władzy. W tej chwili jego życie zależało od nich i oni doskonale o tym wiedzieli. Rozejrzał się dookoła, chciał szybko znaleźć coś, co będzie kojarzyć się z modlitwą. Na białym kredensie, na prawo od wejścia leżał oprawiony w czarną skórę śpiewnik. Wziął go do ręki i skinął głową patrząc w oczy dowódcy.

- Wszystko? - zapytał żołnierz.

- Tak.

- *Nu i chwatit, pajdiom*, idziemy - wskazał drzwi.

Wyszli na ulicę. Arno szedł powoli, starając się nie deptać leżących tafli pękniętego szkła. Żołnierz z pistoletem szedł przodem, pozostali podążali obok. Ten, który był bliżej miał skośne oczy i czarne, gęste włosy, które kontrastowały z białą skórą. Pół kroku za nim podążał blondyn o szerokiej, kwadratowej twarzy. Willmann patrzył na fasady mijanych kamienic z oknami w większości bez szyb. W środku kręcili się żołnierze ubrani w jasnozielone mundury. Wyrzucali z okien meble, pościel, porcelanowe naczynia. Wiedział dlaczego to robią, wiedział, że takie jest prawo wojny. Każdej wojny, niezależnie jak kulturalnym byłby naród, który ją prowadzi. Patrząc na to cieszył się, że miesiąc temu jego bliscy wraz z rodziną pastora wyjechali na zachód. Został tylko on, aby pilnować kościoła i plebanii.

Zauważył, że na ulicach nie ma przechodniów. Dużo mieszkańców ewaku-

owało się wcześniej, a ci którzy zostali, ukryli się w piwnicach i domach.

Naprzeciwko, dwóch roześmianych żołnierzy toczyło po ulicy metalową beczkę. Ich ciemne, prawie brązowe twarze były nieogolone. Gdy przechodzili obok na chwilę stanęli i zaszalutowali próbując się wyprostować. Willmann spojrział jednemu z nich w oczy i dostrzegł, że były skośne, nie potrafił jednak określić koloru źrenic. Wydało mu się, że są wodniste, galaretowate, nieprzytomne.

Dochodzili do rynku. Zauważył przewrócony motocykl, obok którego leżał żołnierz z szeroko rozłożonymi rękoma. Patrząc na jego głowę mógł rozpoznać jedynie dolną szczękę, reszta była bezkształtną czarną miazgą. Trup nie miał butów, na jednej ze stóp została odwinięta onuca. Żołnierze podeszli bliżej i przystanęli rozmawiając przez chwilę. Willmann podniósł leżącą obok motocykla wojskową czapkę. Miała kwadratowe denko, na otoku był przymocowany blaszany ptak.

Przeszli rynek, skręcając w jedną z ulic. Arno zorientował się, że nie pamięta jej nazwy ani dokąd prowadzi, chodź wcześniej chodził nią prawie codziennie. Jacyś żołnierze oblewali spirytusem rozbite pianino, woń alkoholu czuć było z odległości kilkunastu metrów. Odwrócił głowę w tym kierunku i zauważył jak odskakują od szczątków instrumentu, które nagle pokryły się płomieniami.

Przez dłuższą chwilę szli obok rzeki, mętnej i wezbranej, jak co roku na przedwiośniu.

Zatrzymali się przy dużym, samotnie stojącym budynku, przed którym stały dwie zaparkowane ciężarówki. Na plandekach okrywających skrzynie przypięte były białe płachty z czerwonym krzyżem. Taki sam znak znajdował się nad szerokimi drzwiami wejściowymi.

Podeszli do samochodów i stanęli pomiędzy nimi. Azjata wyciągnął z kieszeni tekturowe pudełko z tytoniem i kawałek złożonej zadrukowanej bibuły, który starannie podzielił na cztery części, oddzierając papier wzdłuż zagięć i rozdał pozostałym.

- *Bieri* - wyciągnął rękę.

Willmann wpatrywał się w podany mu skrawek, pokryty wąskimi gotyckimi literami. Odruchowo przeczytał: „przyjdzie czas, kiedy zabiorą pana młodego, a wtedy będą pościć”. Od razu rozpoznał ewangelie Mateusza. Chciał złożyć bibulkę i schować ją do kieszeni. Czerwonoarmista powtórzył:

- *Bieri* - i podał mu szczyptę tytoniu - *bieri*.

- Weź - dodał dowódca - dobry tytoń, z Krymu, przyda ci się zapalić.

- Nie - odpowiedział i z szacunkiem schował kartkę do kieszeni. Co mam robić? - zapytał.

- Tam w środku - wskazał na wejście - ranni, chcieli księdza.

- Ale ja wam tłumaczę cały czas, że nie jestem księdzem.

- Nie ważne i tak boga nie ma, ksiądz czy diak *adna swołocz*.
- To po co wam ksiądz, jak boga nie ma?
- Nie dla nas, *tam paljaki*.
- Ale ja nie jestem księdzem, jestem kościelnym.
- Masz tę swoją książkę, modlić się z nimi będziesz.
- Ale... - urwał - właściwie czemu protestuje? Nagle ogarnął go wstyd za to, że próbuje się wymówić. Zresztą - i tak zadaje się, że nie miał wyboru. Ale to chyba nie to, nie ten brak wyboru. To, co czuł, to był jednak wstyd.

Żołnierze skończyli palić, dowódca wskazał głową w kierunku budynku, z którego wychodził sanitariusz niosący na ramieniu złożone nosze. Zielony materiał owinięty wokół drewnianych stylisk pokryty był ciemnymi, rozmazanymi plamami. Willmann zastanawiał się, czy to krew, czy po prostu materiał pobrudził się na skutek używania. Nie potrafił zdecydowanie tego określić. Chociaż wiedział, że w środku znajduje się szpital polowy, po minięciu drzwi wejściowych zaskoczyła go intensywność zapachu spirytusu, pomieszanego z jakąś inną wonią, ostrą i mdłą, którą Willmann nie mogąc się powstrzymać wciągał intensywnie i głęboko w nozdrza wraz z każdym oddechem.

Weszli do szerokiego korytarza, kończącego się schodami. Na półpiętrze dwóch mężczyzn w białych fartuchach piło z blaszanych kubków, krzywiąc się po każdym łyku. Dowódca chwycił go za ramię i przytrzymał wskazując na drzwi po lewej stronie, tuż przy wejściu na schody.

- No idź robić tę swoją księżowską robotę. Idź się modlić - powiedział i Willmann ze zdziwieniem zauważył, że słowa te zostały wypowiedziane z nieznaną mu dotychczas w głosie żołnierza łagodnością. Nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym, bo żołnierz otworzył drzwi i lekko popchnął go do środka.

Okna w przestronnej sali zasłaniały brezentowe płachty. W półmroku widać było cztery ogromne kokony leżące na szkolnych stołach. Willmann poczuł sztywność języka, jak pod dotknięciem drewnianej lekarskiej szpatułki. Jednocześnie intensywna woń spalonego pierza spowodowała skurcze pustego żołądka, przez co przypomniał sobie, że co najmniej od wczoraj - nie pamiętał już dokładnie - niczego nie jadł. Cofnął się na korytarz.

- Gdzie ty! - dowódca stanął przed nim - módl się teraz, czy co tam potrafisz.

- Co, co im się stało, jak? - zapytał

- Czołg. Palił się - popatrzył w podłogę, butem rozgniatając grudkę wysychającego błota - Drugi dzień tak leżą - dodał po chwili. Morfiny brak, bo teraz to już tyły. *Wsio dla fronta* - mówiąc to gwałtownie wypuścił powietrze. Księdza chcieli, a jak jeszcze krzyczyć mogli, to krzyczeli. Polaki pobożne. Boga wołali, jakby im miał pomóc. A nie pomógł. *Huj z niem*, boga niet. Ale oni są. I księdza chcieli jak ich tu popalonych przywieźli. To im przyprowadziliśmy księdza.

Pozostali dwaj słuchali obojętnie. Ich znajomość obcego języka ograniczała

się do kilkunastu słów przydatnych na froncie.

Willmann powoli uspokajał się. Mdłości minęły, poczuł chłód i uświadomił sobie, że całą koszulę ma przesiąkniętą potem. Poruszył wargami i językiem usiłował je zwilżyć, lecz w ustach nie czuł śliny. Zaczął przełykać, ale to niewiele pomogło. Próbował przypomnieć sobie modlitwy za umierających, otworzył śpiewnik szukając odpowiedniego cytatu, lecz nie mógł znaleźć żadnego, przerzucał bezskutecznie kolejne kartki. Zrozumiał, że nie jest w stanie poprowadzić modlitwy za umierających. Nie miał modlitewnika.

- *Idi* - rzucił blondyn.

- Idź, szybciej - dodał dowódca.

Nagle zorientował się, że przez cały czas słyszy krótkie, wysokie dźwięki przypominające miauczenie małych kociąt. Willmann pchnął drzwi i ponownie wszedł do środka, dźwięki stały się nieco głośniejsze, wydawał je jeden z kokonów. Pozostałe leżały bez ruchu. Arno rozejrzał się po sali. Na prawo, na krześle pod zasłoniętym oknem siedział żołnierz. Ręce trzymał na kolanach skrzyżowanych nóg. Wydawało się, że śpi, jednak gdy Willmann spojrzał na niego, zauważył przekrwione oczy patrzące obojętnie w przestrzeń.

- *Ej wy, paljaki* - dowódca wszedł za nim - *swiaszczennika ja wam naszioł - ksiendza znaczit. Eta ksiondz, batiuszka.*

Willmann podszedł bliżej. Na ławie leżał człowiek cały zabandażowany, w okręconej białymi taśmami głowie pozostawione były tylko miejsca na oczy i usta. Jedno z oczu patrzyło na niego, drugie pokrywał czarny skrzep.

Arno przypomniawszy sobie, jak któregoś dnia dowódca plutonu wysłał go z jakimś zadaniem do polowego szpitala. Pomimo upływu lat zapamiętał namioty ustawione obok spalonej stodoły i modlącego się księdza, który olejem z małej buteleczki ze srebrną zakrętką smarował czoło, pierś i dłonie leżącego na noszach nieprzytomnego żołnierza.

Powrócił do dowódcy i powiedział półgłosem:

- Olej, potrzebuję oleju.

- Co?

- Trochę oleju.

- Jakiego?

- Jaki jest, do modlitwy potrzebuję.

Dowódca przywołał blondyna i wydał polecenie. Willmann odwrócił się w kierunku leżących, otworzył śpiewnik i powoli nakreślił w powietrzu przed sobą znak krzyża. Bezgłośnie otwierając usta, tak, aby leżący nie zorientowali się, że mówi w obcym języku, zaczął odmawiać Ojcze Nasz. Żadna inna modlitwa nie przychodziła mu teraz na myśl.

- Masz - przerwał mu żołnierz, wyciągając rękę z brązową, niewielką butelką.

Willmann nie od razu zareagował. Dopiero, gdy kończąc modlitwę głośno powiedział „amen” odwrócił się i z wyraźnym szacunkiem przyjął naczynie.

Podszedł do rannego, przy którym zatrzymał się na początku. Uklęknął przy stole i odkręcił zakrętkę, uprzednio całując brązowe szkło butelki, zasłaniając dłonią białą etykietę z nazwą preparatu. Ostrożnie, cały czas bezgłośnie wypowiadając słowa modlitwy, wylał trochę gęstego płynu na wnętrze prawej dłoni, po czym położył ją na bandażach pokrywających czoło żołnierza i kciukiem wykonał znak krzyża. Te same gesty powtórzył delikatnie kładąc rękę na jego klatce piersiowej i ramieniu. Patrzył w oko tamtego i uśmiechał się kiwając głową. Usiłował sobie przypomnieć, co mówił po łacinie kapelan bezpośrednio przed atakiem, kreśląc nad wszystkimi krzyż. I chociaż tylko niektórzy w plutonie byli katolikami, to jednak każdemu robiło się jakoś różnie. Wszyscy pragnęli znaku, że ich grzechy zostały odpuszczone.

- *Ego absolvere* - powiedział podnosząc dłoń nad głową leżącego. Chyba to nie było do końca poprawne, ale oko żołnierza przestało patrzeć z przerażoną intensywnością. Ranny uspokoił się.

- *Ego absolvere* - powtórzył już pewniej i uśmiechnął się do leżącego, który nieznacznie uniósł przedramię i z powrotem opuścił je wzdłuż ciała.

Drugiemu rannemu sanitariusz pozostawił tylko wąską szparę wokół ust, z których wydobywało się jednostajne rzężenie, kiedy leżący musiał zaczerpnąć powietrza.

Willmann z trudem uklęknął obok rannego. Czuł, że ten dźwięk opanowuje go całego, wibruje mu w głowie, stawach, mięśniach, że w jakiś sposób pozostanie w nim do końca, odzywając się w chwilach pomiędzy jawą a snem, gdy myśli stają się coraz wolniejsze, by potem zniknąć wraz ze świadomością. Wiedział, że głos ten będzie budzić go o czwartej rano gwałtownymi uderzeniami serca, będzie pojawiać się niespodziewanie, nie dając się przygotować na ból, który ze sobą przyniesie. A mimo to klęczał i szepcząc bezgłośnie modlitwę, smarował olejem zabandażowane czoło, pierś i dłoń leżącego. I pomimo, że ranny nie mógł go dostrzec, a być może nawet usłyszeć, wyciągnął nad nim rękę i wyraźnie powiedział, nagle przypominając sobie formułę:

- *Ego te absolvo...*

Pozostali dwaj milczeli, wydawali się spać. Arno zobaczył jak jeden z nich poruszył się, właściwie ciało jego przebiegł krótki skurcz. Zaczął przypatrywać się rannemu, który zdawał się spokojnie spać, jego klatka piersiowa nie poruszała się jednak, a oczy patrzyły nieruchomo gdzieś w bok. Willmann wyprostował się, uniósł dłoń i wypowiedział te same łacińskie słowa, po czym położył dłoń na oczach żołnierza i poczekał chwilę.

Ostatni ranny leżał na boku. Zanim udzielił mu rozgrzeszenia, Willmann przewrócił bezwładne, wiotkie ciało na plecy. Nie widział jego oczu, żołnierz

także miał zabandażowaną całą głowę.

Jeszcze raz popatrzył na leżących. Pierwszy nadal wpatrywał się w niego nieobecny spojrzeniem ocalałego oka.

Odwrócił się w kierunku dowódcy.

- *No maładiec*. Dobrze - powiedział żołnierz.

- Co z nimi będzie?

- Co ma być. Już po nich.

Willmann stał, nie mogąc się poruszyć. Czuł, że jest bardzo zmęczony.

- Czekaj - powiedział dowódca i spojrzał do góry - *Losz, bystrieje* - krzyknął - *idi sjuda, bystrieje, dawaj*.

Zawołany po chwili zszedł po schodach, obejmując rękoma dwie duże blaszane puszki i kilka ciemnych, prostokątnych bochenków chleba.

- Weź, to dla ciebie - Arno przyjął konserwy. Dowódca wyciągnął notes i wyrwał z niego kartkę. Przeszukał kieszenie, wyjmując czerwony ołówek, oparł kartkę o ścianę i napisał kilka zdań.

- To ważne, propusk, będziesz bezpieczny. Za nami przyjdą trofiejszczyki, różnie może być - to mówiąc wcisnął Willmanowi kartkę do kieszeni płaszcza.

- Idź już, idi.

Arno odwrócił się bez słowa. Wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się przy furtce prowadzącej z ogrodu na ulicę. Przytrzymał brodą ułożone na puszkach bochenki chleba i sięgnął do klamki.

W chłodnym wiosennym powietrzu, niosącym wilgoć znad morza, czuć było dym pierwszych pożarów.

I NAGRODA
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA
BEATA KOŁODZIEJCZYK

BEZDOMNA

zawodzę, jak psy pod moim oknem. skowyczę
i nawet nie próbuję siebie objąć. przychodzisz
tylko po to, żeby wywinąć mnie na lewą stronę,
szwami do zewnątrz. tak chcesz chronić
przed wszystkim, co nie jest tobą,
ale ja niczego nie boję się tak,
jak ciebie.

ścięli koronę sosny, w której ubiegłej wiosny
srocze małżeństwo ulepiło dom. Ernest i Laura,
bo dałam im wtedy po imieniu. będzie widniej,
powinnam się cieszyć. a jednak wołałam,
kiedy ciemno.

NIE DAMY SIĘ PUŚCIĆ Z DYMEM

Od rana szukam wiersza z zachwytem, znajduję
tylko guza na Poniatowskim. Strasznie chcę wierzyć,
że Martin Luther miał rację, że wystarczy iść tam
z miłością i nadstawiać drugi policzek. Że człowiek
przecież jest dobry, tylko okoliczności.

Że jeszcze raz uda nam się nie spłonać.

PAŁKA, ZAPAŁKA, DWA KIJE

a jednak rzeczy się dzieją,
wystarczy na chwilę przysnąć.
świętujmy, pograjmy w coś,
zasłużyliśmy, żeby wybito nam
ze łbów głupoty.

jutro przeproszę, podziękuję i inne takie,
których nikt wcześniej mnie nie nauczył.
zapiszę dwa wiersze, jeden głos,
może zasnę z Tyrmandem.

jutro będę dorosła.

PEŁNĄ GĘBĄ POETKA

Nie jestem najmniejszym wspólnym iloczynem,
jestem wartością bezwzględną. Raz na jakiś czas
muszę sobie poumierać. Z(a) życia mniej spisuję,
staję na niskości zadania. Dziesięć śmiechów
i jeden *smutnik*, a i tak wyższy o głowę.

Rozmóż się, w Bukavu mieszka czarodziej Mukwege,
który naprawia kobiety. Dobrze wie, jak to robić,
matka patrzy z miłością. Potem cały kościół śpiewa,
każdy może być bogiem.

A ja nadal nie widzę siebie za dziesięć lat.
Za dwa dni nawet nie widzę.

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W ŁĘBORKU

ELA GALOCH

BLISKOŚĆ

Zapomniałam jak wyglądała twarz babki. Jest tylko postać; zarys śladów i falujące skrzydło fartucha z powoli otwierającymi się drzwiami drewnianego ganku. Wnętrze spiżarni, kojarzące się z ciemną tkaniną, którą kroila sobą niczym naostrzony sierp ciepłego światła. Tu mieszkał prawdziwy świat, który pozwalał się prowadzić przez ścieżki nasyczone sierpniowym słońcem. W tym oswojonym krajobrazie zachody podchodziły coraz bliżej niczym rude psy, nabierające ufności.

Niektóre wspomnienia łaszą się jak koty, roznoszą zapach lilii świętego Józefa. Bo ze wszystkich cisz, najboleśniejsza jest samotność. By przetrwać próbę dojrzałości, trzeba zachować w sobie obraz pierwszej książki z bajkami i niewygasający żar spod wiejskiej kuchni, gdy słowo *dom* odmienia się przez wszystkie przypadki. Te szelesty jarzębin, gdy na czerwono barwiły dziewczęce spódnice. Białe szepty pochylonej brzozy i sytość słoneczników, strzegących nas pod oknem sypialni.

Rozgadane szpaki w konarach starej wiśni, gdy po żniwach dziadek strugał nowego świątka do przydrożnej kapliczki. Zamykał sobą horyzont jak podwoje spichlerza. Potem ziemię obierał z liści kapusty, żeby zdążyć przed listopadową nocą, kiedy słowa odchodzą na półmilczenia.

JAK ODNALEŹĆ DOM

Najtrudniej jest opisać zimową przestrzeń, gdy biały puch okrywa wszystko. Tu nie ma odśnieżania, dzień jest za krótki na pracę. Przydługie wieczory wiewiórki skracają łuskaniem orzechów; niedźwiedź i susły śpią. Zające czmychają przed lisem, w zaroślach szczękają dziki; nocami wyją wilki. Drzewa trzeszczą wśród rozmytego światła księżyca, kryjąc korpusy w szorstkiej czerni. O poranku znów jastrząb liczy kuropatwy. Między gałęziami wirują wróble i gile, strąsając srebrny pył z jałowca.

Jest bardzo pusto i pięknie. Nie widać leśnych kapliczek ani mogił. Krzyże ledwie wychylają ramiona: marsowy krajobraz z kraterami pamięci: wojny nigdy nie są wygrane. Doliną sunie jakiś smutek, jakieś rozstanie bez pożegnania. Uciekające wiejskie drogi na przełaj przez białą głuszę, choć przedwojenny żyd sklepikarz od siedemdziesięciu lat wędrujący na biblijne równiny. Dziewczyny zbyt długo czekają na odpusty, z samotności ich ciała stały się kałużami zastygniętego wosku.

Miejscowe chłopaki od trzech lat nie piszą z Dublina. Możemy wmawiać sobie, że to tylko przypadek. Lecz coś groźnego rośnie w nas, a my udajemy, że się nie orientujemy. Nie wszystko można kupić; idą święta, więc spróbujmy napić się wigilijnego kompotu z suszonych jabłek za bliskość, kiedy wśród śniegów z taką trudnością odnajdujemy dom.

POCZTÓWKA Z PROWINCJI

Jeszcze nie ma obcych odgłosów. Może tak właśnie powinna przemawiać prawdziwa cisza, gdy wszystko jest swojskie i naturalne? Bo przecież brak ostrych dźwięków, to jeszcze nie spokój. Cisza potrafi szeptać, dźwięczeć, ale nie nawoływać. Jak okiem sięgnąć falujące łąki, niczyje pastwiska; kolorowa mozaika traw i ziół niemająca końca. Białe baldachiny czarnego bzu i żółte plamy macierzanki rozpełzły się po horyzoncie, do którego kluczami stają się ziarenka nagrzanego piasku.

Świat bez granic. Obok siebie polany dziewanny, niebieskiej cykorii i zdziczałego prosa; w tej ciszy wszystkie pomieszone jak migowe języki. Krajobraz potrzebuje zachowania słów na później, żeby nie burzyć gwarem rozstawionych w horyzoncie sztalug chwytających światło. Żrenica jak płótno utrwała nasłonecznioną ziemię. W tęczy potu stajemy się filarem *Wielkiego Przymierza* natury. Przemodlimy pejzażem najprostsze sprawy. Rozwarte ramiona pokażą, że ptakami jesteśmy w tej szmaragdowej przestrzeni wiatru.

I wystarczy nam wieczorny krzyk derkacza, co brzmi jak drewniana kołatka, rozchodzi się wokół, ale tak naprawdę zalega cisza. Z oddali szczekanie wiejskich psów czy porykiwanie krów niczego nie psuje, nie mąci. Hałas nie wynika z natury, to ludzkie dzieło.

BEZPIECZNE MIEJSCE

Tato, wróć z dalekich przestrzeni, kryzys nie obejmuje nieba.
Potrzebuję, żebyś naprawiał pejzaże jak mój czerwony rower.
Dziecinny pokój na zawsze został w twoim ciepłym spojrzeniu,
kiedy krzyżowałeś noc, żeby przestawała zamykać mnie w rezygnacji.
Grzywy koni wierzgały na kilimach przed tapczanem i nie musiałam
udawać, że dom w dzikim winie wessały kretowiska. Zobacz, pies
w deszczu - jak dawniej - szczeka na spłoszone samochody.

Zmiany bołą: czasem zabijają jak gwałtowna burza,
więc próbuję nie rozkleić się nad ranem. Poruszam martwą ziemię
i na zmurszałych płotach czyszczę słowa ze złych ludzi.
Ale wspomnienia tłą się i nie mam do końca pewności, czy istnieli
sąsiedzi i moja wieś, z watahami kóz i agrestowym sadem.
Jutro będę miała trochę wolnych myśli i wrócę na ostrze szosy,
obok autobusowego przystanku. Czy jak kiedyś skropi się ozimina,
a na słupach wysokiego napięcia zaskwierczą błędne ogniki?

W tej wilgotnej akwareli doszukuję się ciebie, może zechcesz
dłońmi nakryć las. Krajobraz wciąż czeka na nasze indiańskie okrzyki.
Odeszłam od dzieciństwa, kiedy za stodołami pękały ostatnie melodramaty,
a rozwidlenia asfaltowych ścieżek uzwyczajniły kwitnące jabłonie.
Lecz czasem wyrywam się z cywilizacji, aby wypatrywać ciebie
na drodze z miasteczka.

III NAGRODA HANNA DIKTA

PRZEPIS NA

rzecz w tym że
nerwica borderline schizofrenia
piszą najlepsze wiersze

czego tu szukasz
z tym swoim małomiasteczkowym szczęściem
czterdziestoletnia dziewczynko tęskniąca za matką
z rosołkami klasówkami spacerami
mężem tym samym od dwudziestu lat
gdybyś się chociaż ponownie zakochała jak S. albo A.
to taka modna przypadłość w waszym wieku

rzecz w tym moja droga
że najlepsze wiersze piszą
puste torowiska
poskręcane ciała

MACIERZYŃSTWO

widzisz jest tak
że siedzisz w księgarnianej kawiarence
czytasz *Poetki z Wysp*
pijesz cappuccino z pojedynczego espresso
i jest naprawdę pięknie
póki nie zaczniesz się zastanawiać co zrobisz
jeśli w multikinie trzy piętra wyżej
w którym twoje dzieci zaśmiewają się właśnie
z perypetii gadających lalek
jakiś szaleniec
podłoży bombę

PRÓŻNIA

tej jesieni dowiedziałas się
że mąż od trzydziestu lat
zdradza cię z dziwkami
i tu właściwie powinna
skończyć się ta historia
jednak w tym wypadku
to tutaj dopiero się rozpoczyna

będziesz krzyzczeć śmiać się
bić pluć wrywać włosy
będziesz płakać zawodzić
drzeć ślubne fotografie
będziesz pakować walizki
grabić liście
szukać z wnukami zgubionych zajęczków
zasypiać przy Mozarcie i Bachu

potem oddasz się mężowi
tak jak one
(mam ci powiedzieć
czego mężczyzna szuka w burdelu?)
by na końcu zrozumieć
że chodzi
wyłącznie o ciało

PRZEWODNICZKI

lubię przyglądać się ludziom
dwadzieścia lat temu w Paryżu
interesowali mnie wyłącznie mężczyźni
*a droit a gauche**
- szeptałyśmy do siebie z Agatą
popijając *l'eau mineral*
jakbyśmy zakładały
że paryżanie nie rozumieją francuskiego
i żaden z siedzących obok przystojniaków
nie domyśli się
że stał się właśnie obiektem
nastoletnich westchnień

teraz wolę patrzeć na kobiety
szczupłe w kwiecistych sukienkach
z delikatnymi ramionami
i łagodnymi uśmiechami wyrysowanymi
na starzejących się twarzach
rozsiadają się wygodnie w wiklinowych fotelach
sączą świat

**na lewo na prawo*

I NAGRODA
STAROSTY POWIATU ŁĘBORSKIEGO
RAFAŁ LEWCZUK

KOMISJA

Witam na posiedzeniu Komisji. Widzę, że lista podpisana. Ingrid, czy dziś jest pani gotowa do protokolowania?

- Tak, ja przecież zawsze...
- Dziękuję pani.
- Ale...
- Tak, dziękuję. Prosimy pierwszego świadka. Będzie pani łaskawa?
- Natychmiast; Ilin Karl, proszę wejść!
- Skrzypią drzwi, przesłuchiwany staje za barierką.
- Imię i nazwisko?
- Karl Ilin.
- Czym się pan zajmuje?
- Jestem grafikiem.
- Poznaje pan?
- Tak, to mój projekt.
- Czy może pan powiedzieć, co przedstawia?
- Motyw trupiej czaszki, to jest teraz modne, na zeszytach, koszulkach...
- A poza nią?
- Napis?
- Może pan przeczytać?
- Proszę pana! Podkreślam, że...
- Proszę się nie denerwować i zwracać do Komisji per Wysoka Komisjo...
- Wysoka Komisjo!!
- Powtarzam, bez obaw, jest pan tu w charakterze świadka. Proszę czytać.
- Orkan-7. Nie rozumiem, do czego mają prowadzić te pytania!
- Komisja je zadaje, aby ustalić fakty. Czy pan wie, czego to nazwa?
- Teraz wiem, wtedy nie. To etykieta, jakich robimy setki: psie zabawki

z psem, pudło na wazon z wazonem, plakaty wyborcze – wszystkich partii. Ulotki firm – wszystkich, którym pasują nasze wzory i ceny!!

– Ostatni raz upominam, żeby nie podnosił pan głosu. W przeciwnym razie Komisja nałoży na pana karę.

– Przepraszam, ale ustalamy fakty, czy wmawiamy...

– Pan się posunął za daleko! Komisja niczego nie wmawia, zostaje pan ukarany. Pani Ingrid, proszę to zapisać i wyprowadzić świadka. Teraz Komisja się naradzi.

Protokolantka odprowadza świadka i zamyka za nim drzwi.

– Niewinny?

– Popieram pana Przewodniczącego. I jestem osobiście przekonany: przyjmując zlecenie nie znał przeznaczenia preparatu, jak większość ludzi wtedy.

– Zgadzam się. Dodam, że nawet gdyby wiedział, jest niewinny. Brak związku między jego działaniem, a rozpatrywanym przestępstwem. Gdyby zrobił etykietę „tuńczyk w oliwie 200 g”, a producent owinął nią puszkę z dorszem w zużytym oleju ważącą 195 g, kto byłby oszustem? Analogicznie, tej pracy nie możemy uznać za udział w ludobójstwie.

– A ja myślę, że nawet odwrotnie; gdyby odmówił zlecenia, to byłaby nierzetelność. To tak, jakbym poszła do „Myszki” po mięso, a kasjer go nie sprzedał, bo jest jarošem.

Spojrzeli na Przewodniczącego, piszącego w notesie. „Stary olej – cena?” Podkreślił wpis i podniósł wzrok na obecnych.

– Głosujemy oficjalnie: jednogłośnie niewinny?

– Tak.

– Uhm.

– Jasne.

– Zapisała pani? Prosimy kolejnego świadka.

Protokolantka gorączkowo kończy notować i półbiegiem zbliża się do drzwi.

– Pan Wadim Ort!

– Imię i nazwisko?

– Ort Wadim.

– Zawód?

– Kolarz na rencie.

– Pracował pan w obozie?

– Nie! W ogóle nie pracowałem w obozie!

– A gdzie?

– Na bocznicę, poza obrębem, ogrodzenia zaczynały się dalej. Nie podlegałem komendanturze tylko zawiadowcy stacji.

– Był pan zadowolony z tego zajęcia?

– Zadowolony? Pani żartuje? Ta praca spadła mi z nieba!

– Jak pan to rozumie?! Co to znaczy?!
– Pani posłucha: po wypadku powiedzieli, że mojej operacji Kasa Chorych nie refunduje. Potem rehabilitacja, bo nawet nie wstawiałem z łóżka. Odmówili wypłaty z polisy, na którą dwadzieścia lat miałem potrącane z pensji, bo poradnia napisała o „zabiegach leczniczych”, a w warunkach ubezpieczenia były „procedury terapeutyczne”. Wracam i proszę, żeby zmienili „zabiegi” na „procedury”. Na to rejestratorka do mnie, że nie będzie robić przekrętów...

– Dobrze, ale proszę nie odbiegać od tematu...

– Przepraszam. Wracając do tematu: idę do Urzędu Obietnic Socjalnych, i wnioskuję o rentę. Patrzą w papiery: brak ciągłości zatrudnienia od 1979 do 1984. Pracowałem wtedy w Gebirgehaven, wybuchła cysterna z gazem, biuro przy stacji poszło z dymem. Pokazałem kwit ze straży pożarnej. Pani z UOS powiedziała: super, wystarczy, że wrócę do strażaków po zaświadczenie, że moje papiery były w spalonym budynku, z odpisem co zawierały, a rentę mam od ręki. Dzwonię na 112 i proszę o pokierowanie a oni mówią, że kierują wniosek na kolegium za zajęcie numeru alarmowego. Wtedy UOS...

– Pan słyszy?! Proszę odpowiadać na pytanie Komisji. Pamięta je pan?

– Naturalnie. Zaraz... A! Czemu byłem zadowolony z pracy.

– Właśnie.

– Wracając do pracy, babka w okienku mówi, że jak mi się nie chciało załatwić papierka, to moja sprawa, teraz przyślą decyzję. Pytam na pocztce o list z UOS. Każą czekać na listonosza; on na pewno doręczy lub zostawi awizo. Za dwa tygodnie pytam znowu o pismo. Nie, mam czekać i nie tworzyć kolejek, bo inni chcą załatwić sprawy, a ja nie jestem sam na świecie. Minął miesiąc, a na pocztce mówią „Pan nie odebrał listu, zwrócony do nadawcy”. Jak to możliwe? Kontrolerka mówi, że w systemie się zgadza: list był dwa razy awizowany i poszedł na zwrot. Co mam robić, bo żadnych awizów nie było? A ona, że mam nie krzyczeć, bo inni klienci mają prawdziwe problemy, a ja nie jestem jedyny na świecie. Jak mi się nie chciało odebrać, to UOS znowu wyśle.

– Proszę pana!! Komisja bada zbrodnie najgorszego totalitaryzmu. Ustroju, który traktował ludzi gorzej niż bydło. Odzierał ich z godności, upadał w okrutny i wymyślny sposób. Szykanował ofiary i doprowadzał je do fizycznej zagłady, poprzedzonej cierpieniem, któremu nie można było zapobiec ani ulżyć. Wprzęgał w te działania wszystkich, zacierając podział na katów i ofiary. Tu chodzi nie tylko o winnych. Odkrywamy mechanizmy zła, by już nigdy nie wróciło. A pan omawia jakieś formalności!

– To ważne – podjął świadek po chwili – bo wyjaśnia dlaczego ta praca mnie uratowała.

– Pan przesadza...

Członkini Komisji przerywa uciszona gestem Przewodniczącego.

– Proszę dokończyć, tylko krótko.

– Dziękuję. Mówiąc pokrótce, zgodnie z prawem, UOS uważa zwrócony list za doręczony, więc decyzję „przyjąłem” z datą zwrotu i termin na odwołanie minął. Ale urzędniczka powiedziała, że decyzja jest korzystna, bo lekarz wyrocznik...

– Orzecznik...

– ... zawyrokował, że mam status „rencisty bez prawa do pobierania renty”. Spytałem, gdzie korzyść, skoro nie mam za co żyć. Odpowiedziała, że mogę bez kolejki odbierać listy na pocztę, a zasiłki daje opieka społeczna. Tam znów powiedzieli, że nie mają podstaw do wypłaty zasiłku. Skoro UOS nadawał status, to do niego mam się zwrócić. Jeśli nie odpowiada mi ichnia decyzja, opieka oferuje bezpłatną pomoc prawną.

Prawnik orzekł, że mogę wnosić o zmianę statusu rencisty bez prawa do renty, na rencistę uprawnionego do renty. Tylko, ale! Do bezpłatnej pomocy prawnej upoważnia status rencisty uprawnionego do renty, ale nie status rencisty bez prawa do renty, więc poleca kancelarię swojego kolegi. Zdziwiłem się, czy nie powinno być odwrotnie z tym statusem. Prawnik na to, że nie, bo rencista bez prawa do renty ma inne dochody i pieniędzy nie potrzebuje, tylko pozostałe uprawnienia. To czemu UOS nadał mi ten status? Nie mam „innych dochodów”? Prawnik na to, że UOS wydaje taką decyzję zawsze, i zmienia ją tylko gdy petent się odwoła, a tu termin upłynął, więc dalsze rozważanie jest jałowe. Resztę miał wyjaśnić kolega odpłatnie.

– Jak potoczyła się sprawa?

– Wydałem wszystko i przegrałem. Wtedy wpadłem na mojego naczelnika stacji. Słuchał, cmokał, kręcił głową. Nie nadawałem się do normalnej pracy, ale tu była tylko jedna zwrotnica, przy niej budka i dwie nitki torów. Składy z zapatrzeniem szły na jeden, te z ludźmi na drugi. W budce od biedy dawało się mieszkać.

– Wspomniiał pan o transportach z ludźmi, wiedział pan, co ich czeka?

– Nie myślałem o tym, dbałem o zwrotnicę.

– Widział pan ich, może opisać ich stan?

– Był zakaz podchodzenia do wagonów. Słyszałem krzyki, prośby o wodę i jedzenie.

– Pomagał pan?

– Jak? Inwalida przeciw uzbrojonej straży? Wodę nosiłem sobie kuśtykając i kuląc się z bólu. Pensja z trudem starczała na chleb. Codziennie szło kilka pociągów, po kilkadziesiąt wagonów, każdy nabity ludźmi. Jak ich nakarmić? I co z tego, że by się najedli, skoro i tak wkrótce...

– Pan wiedział, co ich czeka.

– Wiedziałem, co czeka mnie, gdy odejdę.

– Nie ma pan sobie nic do zarzucenia?
– Żaden skład się nie wykołoił, nie został mylnie skierowany. Pracowałem jak trzeba.

– Dziękujemy panu.

Kolejarz wziął kulę opartą o barierkę i ruszył do drzwi, podtrzymywany przez protokolantkę. Zatrzymał się w pół drogi i obejrzał na członków Komisji. Napotkał pytające spojrzenia, ale ostatecznie nie padło ani słowo, z żadnej ze stron. Masywne drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem.

– Osobliwy przypadek.

– Tak panowie? Ja tu widzę głównie roszczeniowość, też na swój sposób wymowną.

– Prawda? Ta wsobność, koleżanka tyle razy upominała... Ale to, co mówił o pracy jest w sumie jasne, nie uważacie?

– Niewątpliwie.

– Obiektywnie, mamy jak gdyby jedno wyjście. Czy państwo się zgadzają? Rozległ się pomruk aprobaty.

– Pani Ingrid, możemy poprosić kolejną osobę, jest pani na bieżąco?

– Tak, tylko... powinnam zapisać przebieg i wynik głosowania?

– Doskonale, proszę to zrobić, czekamy – członkowie Komisji patrzą po sobie znacząco.

– Ale? Bo chyba... nie słyszałam, żeby było głosowanie??

– Trzeba uważać, Komisja specjalnie dla pani nie powtórzy procedury.

– Tak – kobieta zaczyna nerwowo pisać i dodaje pod nosem – znowu to samo, znowu...

– Słucham?! Co pani mruczy?

– Nic, panie Przewodniczący. Mogę prosić kolejnego świadka.

– Tak – wzdycha Przewodniczący, na tle westchnień reszty Komisji.

– Zapraszam panią!

Wkracza energiczna kobieta w kostiumie, podchodzi do barierki i zatrzymuje wzrok na ścianie, ponad głową Przewodniczącego.

– Imię i nazwisko?

– Milena George.

– Czym się pani zajmuje?

– Jestem specjalistką koordynowania procesów wysokiej klasy.

– Pani jest specjalistką wysokiej klasy, czy te procesy są wysokiej klasy?

– Myślę, że tak można powiedzieć.

– Jeszcze raz.

– Nieważne, kolego! Proszę powiedzieć, co pani robiła dla PROPAN-u, to znaczy Partii Rozumnej Ochrony Praw Aryjskiego Narodu?

– Projekt dotyczył logistyki i produkcji.

- Co produkowano?
- Wartość dodaną.
- Proszę szerzej opisać swoje zadanie.
- Obejmowało risercz sfokusowany na obliczenie macierzy solucji dla kejsu optymalnego streamingu obiektów w czejnach dostaw. Badaliśmy wskaźnik dysrupcji w razie dilaju wywołanego dżammingiem w infrastrukturze. POI klienta zawierał też sklejkę output conditions z dalszym processingiem w perspektywie agility'n'efficience całego układu. Osiągnęliśmy meeting oczekiwań stron i ostatecznie puknęliśmy ten czelendź.
- Rozumiemy, że szukali państwo takiego układu transportów, który niezależnie od przeszkód zapewni płynne działanie obozu?
- Wyraziłam się jasno.
- Wiedziała pani, że udoskonala ludobójstwo?
- Kontrakt tego nie obejmował.
- Dziękujemy pani.
- Świadkini zgromiła wzrokiem protokolantkę, która podnosiła się, by ją odprowadzić.
- Głosujemy – zachęcił Przewodniczący gdy zamknęły się drzwi. – Kto uważa, że jest niewinna?
- Dobrze... Kto się wstrzymał? Pani?
- Tak. Myślę, że tu jest większa odpowiedzialność. System działał też w innych obozach.
- Uważam, że taka sama, jak w poprzednich przypadkach. Wspólną cechą jest brak bezpośredniego udziału. Przecież tak głosowaliśmy, prawda?
- Tak.
- To ja też głosowałam... yyy... „niewinna”, tylko za późno podniosłam rękę.
- Dobrze... tak pani Ingrid?
- Czy tak mam to zaprotokołować?
- Niech pani skupi się na istocie, zwieźle. Więc następny...
- Chwileczkę panie Przewodniczący, bo pani Ingrid patrzy jakby nie rozumiała. Proszę zaprotokołować, że pani George została jednogłośnie uznana za niewinną.
- I następny świadek...
- Przepraszam panie Przewodniczący, dochodzi czwarta, jestem zapisana z dzieckiem do lekarza, może chociaż dzisiaj skończmy o czasie, prosiłam tydzień temu...
- Ale się pani nie przypomiwała, pani Ingrid.
- Nie chciałam być natrętna.
- Dobrze, prosba została uwzględniona, proszę wezwać...
- Ale ja naprawdę, bardzo proszę!

– Proszę nie przedłużać, to zdążymy. Proszę wezwać Jana Kota.

Protokolantka bijąc obcasami w parkiet idzie do drzwi i wzywa świadka. Ten wchodzi ubrany w stary dres i wsuwane kapcie. Jest z nim rosły mężczyzna w medycznym uniformie.

– Imię i nazwisko?

– Kasandra Eichmann-Gandhi.

Członkowie Komisji patrzą na mężczyznę w ciszy. Ten, który asystuje świadkowi wzrusza ramionami.

– Pan symuluje chorobę psychiczną?

– Na odwrót: wy jesteście wysoko funkcjonującymi szaleńcami, ukrywającymi obłąd. W hipokryzji, w konformizmie, w gadaniu coraz większych głupot, poplątanych i odklejonych od faktów, od uczciwości, od reguł myślenia. Nie ma szczekania, jest tylko psie miauczenie, to logiczne – przytakujecie sobie. Wata cukrowa to nie cukier – utwierdzacie się nawzajem. Słowo „pogorzelec” wyklucza; należy mówić „lokator posttermiczny”. A jako lokator posttermiczny jest na równi z każdym innym lokatorem, więc nie dostaje żadnej pomocy. Wyglądam tak, jak widzicie. Mówię to, co słyszycie. Będę, niezależnie ode mnie, tym, za kogo mnie uznacie.

– Komisja nakłada na świadka karę za brak szacunku i upomina go, by używał zwrotu „Wysoka Komisjo”.

– Tere fere kuku...

– Skandal!

– ...Wysoko Funkcjonująca Komisjo.

– Komisja nakłada...

– Koleżanko, przecież to nie prowadzi donikąd!

– Czyli prowadzi dokądś? Bee... bee... podwójne przeczenie... baraniee...

– Był pan zastępcą komendanta! – Słowa Przewodniczącego wzniosły się ponad odgłosy wydawane przez świadka – Do spraw administracji!

– Zgadza się, liczyłem trupy i ważyłem tytan z wyciętych trupom endoprotez, liczyłem ile złota dają wydarte ze zwłok rozruszniki serca. To nie złote zęby, ale raz wymyślony sposób na zarobek wraca – w innej postaci. Gdy czerwona linia zostaje przekroczona, nikt się już poza nią nie cofa. Rysuje się ją w innym miejscu i mówi: „Widzicie, trzymamy się od tego z daleka. Wymagało ofiary, by zrozumieć, ale nie poszła ona na marne”. A ofiara owszem, przydaje się jako poligon, gdzie uczymy się popełniać nowe zbrodnie – większe, lepiej zamaskowane.

– Pan obraża nie tylko Komisję, ale i kraj, który ona reprezentuje. Nasz kraj, który przebył drogę od zaborów i okupacji do demokracji i wolności.

– W którym, bez zewnętrznego zaborcy i okupanta jesteśmy nimi sami dla siebie. Tak, zanim zacząłem „symulować”, byłem jednym z was...

– Potwarz!

– Obrzydliwe pomówienie!

Jeden z członków Komisji zrywa się z miejsca, Przewodniczący uderza dłonią w stół.

Świadek uniósł brwi i wybuchnął szczerym śmiechem.

– Ha, ha, ha! Jak to zwykle wy, Wysoko Funkcjonująca Komisjo, bierzecie to, co mówię zbyt dosłownie. Nie o **TYM** myślałem, hi, hi, hi, ale jak widać – uderz w stół, a nożyce się odezwą, ha, ha, ha, ha! – Klepał barierkę w rytm śmiechu.

– Jeszcze jeden numer, i będą elektrowstrząsy. Seria za pierwszy, i po dwa razy tyle za każdy następny. – Odezwał się człowiek towarzyszący świadkowi. Stał w rozkroku, z założonymi z tyłu rękami i zadartym podbródkiem.

Członkowie Komisji spojrzeli z uznaniem. Ten, który wstał, siadając obciągnął energicznie marynarkę, jakby miał na niej zapięty pas. A świadek skulił się i zbłądł, jak kopnięty w brzuch.

– Jaka jest jego sytuacja? – twardo zapytał Przewodniczący pielęgniarza.

– Retencja w szpitalu psychiatrycznym. Nigdy nie wyjdzie.

– Ma rozpoznanie?

– Tyle, ilu psychiatrów go badało.

– Któreś z nich jest prawdziwe?

– Wszystkie bez wyjątku.

– Wyprowadzić!!

Pielęgniarz wyprężył się i strzelił obcasami, choć w tenisówkach nie wyszło to wzorowo. Gdy wyszli, odezwał się Przewodniczący:

– Zatem głosujemy...

– ...jednogłośnie winny. Przepraszam. – jedna z członkiń Komisji spojrzała przymilnie na Przewodniczącego i zaczęła mu szeptać do ucha, z czego dało się słyszeć „piątek” i „działka”. – Yhy... tak. Koniec przesłuchań, ale proponuję od razu przejrzeć i podpisać protokoły, nadgonimy robotę.

– Jestem za. A pani? Co pani tak nic nie mówi?

– Bo myślałam... ale w sumie wszystko mi jedno.

– Ojej, może ja komuś przekazę papiery i pójdę, już jestem spóźniona. Ale jak ktoś wszedł za mnie, to może chociaż na końcu nas przyjmą.

– Pani żartuje, pani Ingrid! Jak jest praca, to trzeba pracować.

– Ale prosiłam przecież, że mi zależy, bo lekarz, bo dziecko. I wcześniej to zgłaszałam i dziś, naprawdę nie mogę zostać.

– Niech pani przełoży wizytę, żaden problem.

– Jak? Zapiszą za pół roku, a nie mam recept, nie mam nic.

– Co też pani opowiada, dzwoni się do rejestracji i od razu podają nowy termin za dwa, góra trzy dni. Dzień czy dwa pani nie zbawia.

– Tak! A w rejestracji powiedzą, że w każdej chwili mogę wziąć wolne

w pracy. Tam gdzie jesteś nie możesz załatwić nic, ale wmawiają ci, że tam gdzie cię odsyłają wszystko załatwisz od razu.

– Skończmy tę dyskusję, bo na pracę nie ma pani czasu, ale na snucie dywagacji go pani nie żal.

– Nie rozumiecie państwo? Ja muszę teraz wyjść!

– Co za brak profesjonalizmu.

– Jak się nie podoba, to się można zwolnić.

– Bez lekarstw moje dziecko trafi do szpitala. Czy to się nie liczy w porównaniu z tym, że ktoś chce wcześniej wyjechać na działkę?

– Co za tupet! Podziwiam panią. Nawiasem mówiąc, czy pani w ogóle myśli o kimś innym, czy tylko o sobie? Polecam odrobinę empatii.

– Szkoda słów, koleżanko. Pani Ingrid jest tak uparta, że nie przyjmuje żadnych argumentów.

– Oportunistka. Więcej spolegliwości by się przydało...

– Komisja przerwie pracę, bo pani Ingrid „nie ma czasu”!

– Faszyzm to najpierw postępowanie, potem ideologia, a na końcu symbole!! – Okrzyk zmroził nabierającą tempa rozmowę.

– Proszę teraz wyjaśnić, co pani miała na myśli – rozległ się oschły głos Przewodniczącego.

– Bez końca przesłuchuje się ludzi: kto wstawił czaszkę na plakat, kto wyhaftował runy sieg na sztandarze, kto sprzedał nici na haft. Kto dał kamień, kto wyrzeźbił swastykę, a kto wmurował ją w pomnik. I wszystkich się uniewinnia.

Tak, jest związek między symbolami a złem. Ale czy one tworzą zło, czy zło tworzy symbole, przywłaszcza je sobie? Co jest zasadnicze, a co wtórne? Najgorsze, że usunięcie symboli uważa się za usunięcie zła. Przemoc bez metki według tego myślenia, to przemoc mniejszej wagi. Usunąć albo zmienić symbole, a usuniesz przemoc! Nieprawda: dasz jej tylko alibi, czapkę niewidkę. To mam na myśli.

– Czyli: podważa pani sens pracy Komisji; krytykuje jej metody; a nazistowską symbolikę pani lubi?

– Koleżanko, proszę się powstrzymać. Pani Ingrid, zapraszamy za barierkę dla świadków.

– Co?! Byłam już weryfikowana! Nie!!

– Panie Przewodniczący, pani Ingrid robi wrażenie niezrównoważonej, mówi od rzeczy, jak poprzedni świadek. Proponuję...

– A skąd, proszę pana! Jedna osoba w szpitalu dziennie, to dosyć. Nie możemy psuć statystyk. Ingrid? Na co pani czeka?

Protokolanta lunatycznym krokiem zajmuje miejsce dla świadków.

– Katrin, proszę protokolować – Przewodniczący zwrócił się do kobiety, która szeptała mu do ucha.

Ingrid uśmiecha się do siebie.

– Imię i nazwisko?

– Jednak ktoś inny może się zająć protokołem...

– Imię i nazwisko proszę!!

– Ingrid Krebs.

– Co pani robiła w czasie wojny?

– Bałam się nalotów, liczyłam kartki żywnościowe, słuchałam komunikatów z frontu...

– Chodzi mi o przynależność...

– ...pochowałam męża.

– ...do reżymowych organizacji.

– Aryjska Liga Kobiet – tam była zapisana każda kobieta.

– Nie każda...

– To prawda, więźniarek nie zapisywano.

– Więc miała pani wybór.

– A co pani wybrała?

– Proszę nie obrażać Komisji i odpowiadać na pytania. A nie zadawać, to nie pani rola.

– Może wtedy zadawałam ich za mało – kiedy będzie właściwy czas, by to zrobić?

– Wróćmy do momentu, kiedy wstąpiła pani do Ligi.

– Byłam przedszkolanką, należałam do związku zawodowego, który przystąpił do Ligi, nie miałam na to wpływu.

– Uchyła się pani od odpowiedzialności. Można było wystąpić i ze związku i z Ligi.

– I pójść do obozu? Kiedy mąż zginął na froncie, zostałam sama z dziećmi – jedno z nich dziś nie dostanie leków. Przez panią.

– Pani jest niedojrzała; szuka pani winy w drugich, nie w sobie. Sama pani odpowiada za swoje życie. Tak jak wtedy, gdy wybrała pani służbę w organizacji przestępczej.

– Nawet gdybym poszła do obozu, to co? Skazałabym dzieci na łaskę państwa, które tak chętnie TERAZ nazywa się przestępczym.

– Wydaje się pani, że ma pani rację, ale jej pani nie ma. Nie umie pani trafić nie ocenić swojego postępowania. Dlatego sugerowałam ocenę przez specjalistów.

– Kolego, zamknęliśmy ten temat. Pani Krebs, nadal nie wiemy, co robiła pani w ALK.

– Działalam... w Szwadronie Opiekuńczym. Ach!

– Płacze pani? Coś się wtedy stało? Proszę mówić.

– Sortowaliśmy rzeczy dla żołnierzy i sierot. Przychodziły w nieoznaczonych kartonach. Trafił mi się kocyk, taki rożek... Nie mogę, naprawdę...

- Słuchamy, to może być ważna okoliczność.
- Na podszewce było wyszyte: *Für kleine Sarchen. Mutti*. „Dla malutkiej Sary. Mamusia.” I wtedy...
- Nie męczcie mnie...
- Zatem świadomie włączyła się pani w proceder, bo przyznaje pani, że miała dowody, skąd pochodziły rzeczy, a pani obecna, *nerwowa* reakcja potwierdza, że miała pani jasność, w czym bierze udział.
- Nieważne, co powiem. I tak nie zrozumiecie. Tacy jak wy nie rozumieją do końca.
- To tylko pani opinia o umysłowych walorach Komisji. Jest pani zatrzymana do dyspozycji służb. Proszę zawołać strażnika, który wyprowadzi panią Krebs.
- Po chwili członkowie Komisji zostają sami.
- Tego się nie spodziewałem. Pod samym nosem Komisji.
- Infiltracja kolego, chcieli mieć wtykę.
- Wszystko pasuje. Ależ byłam głupia: te jej obiekcje, nieudolność, jakby nie nasz narodowy charakter!
- A okazuje się, że to sabotaż.
- Kiedyś to było nie do pomyślenia.
- Tak, kiedyś był porządek.
- Porządek i dyscyplina.
- Liczyła się dyscyplina i liczył się obowiązek.
- Liczył się obowiązek i... jak protokół Katrin?
- Gotowy. Kolejna zwolenniczka PROPAN-u wykryta.
- Brunatna świnią!
- Upominam panią, jesteśmy organem prawa. Zamykam posiedzenie Komisji Denazyfikacyjnej.
- Dziękuję za owocną sesję, jutro kolejny pracowity dzień. Do widzenia.



II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

BEATA KOŁODZIEJCZYK

POMAZAŃCE

Świąt nie będzie - napisała na fejsbuku, wklejając zdjęcie biletu autobusowego. I słowa dotrzymała. Wyjazd zaplanowany na dzień poprzedzający narodziny Pomazańca do miejsca, w którym przychodzi on na świat dopiero trzynastcie dni później, miał być gwarancją uniknięcia gorączki świątecznej zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie granicy.

- Nie rozumiem... - Wróciła do drażliwego tematu Oksana. - Dlaczego nie chcesz spać u nas?

- Dużo gadacie. I dużo się kłóćcie - tłumaczyła Lidka cierpliwie. - A ja jadę na wczasy i chcę odpocząć.

Brat Oksany załatwił jej w końcu pokój w pensjonacie kolegi, tanio i na odłudziu, jednak coś wisiało w powietrzu. Niemożliwe przecież, żeby robiła to dla dobra wszystkich, musi coś do nich mieć. Często czuli się urażeni bez powodu, często czuli się gorsi. I jakkolwiek by ich Lidka zapewniała, że niepotrzebnie, przekonać nie potrafiła.

Odjazd z Zachodniego opóźniał się, ale nikt nie miał odwagi zapytać dlaczego. Po czterdziestu minutach przed szereg wystąpił jeden śmiałek. Od kierowcy usłyszał, że nie ma się co dziwić, święta, i żeby lepiej za głośno się nie dziwił. Śmiałek grzecznie wrócił na miejsce. Już nie byli w Polsce. Byli teraz w przedśionku prowadzącym do kraju, w którym siedzący za kierownicą jest władcą wszystkich siedzących za jego plecami.

Lidka czuła się trochę nieswojo w tym obcym świecie. Wreszcie ruszyli i głowy Ukraińców, styrane kilkumiesięczną orką dla Polaków, zaczęły jedna po drugiej opadać. Gdy stanęli w długiej kolejce na granicy, Oksana też już smacznie spała.

Mijały kolejne godziny, pęcherz Lidki zaczynał dawać o sobie znać. Zastanawiała się, czy to możliwe, że tylko jej, czy może po prostu inni wolą za głośno nie cierpieć.

Ucisk w podbrzuszu nasilał się, a ona nie знаła ani słowa po ukraińsku i nie

wiedziała do kogo z tym pójść. I czy w ogóle. Tak, musiała to przyznać, plecy kierowcy w połączeniu z cichym cierpieniem siedzących za nimi działały studząco również na nią.

Przednie drzwi autobusu otworzyły się. Nie szedł za tym żaden komunikat, więc przez kolejnych kilkadziesiąt minut nikt nie odważył się do nich podejść. Tym bardziej nimi wyjść.

Wreszcie wstał kolejny śmiałek. Szybkim krokiem przemaszerował środkiem i równie szybko zniknął na zewnątrz. Za nim pędem zaczęli wysypywać się inni. Bez oglądania za siebie, jakby coś zwędzili i chcieli przejść niepostrzeżenie obok patrolu policji.

- Oksana... - Lidka trąciła w ramię pochrapującą cicho towarzyszkę podróży. - Siku...

Kobieta wyprostowała się w fotelu. Mrużąc opuchnięte powieki, próbowała ogarnąć otaczającą rzeczywistość.

- Nie wytrzymasz? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Żartujesz?! - uniosła się Lidka, nie mogąc zrozumieć tej utrzymującej się od wejścia na pokład władcy autobusu atmosfery strachu. - Żadnego kibla przez tyle godzin? To jest chore!

- Dobra, weź paszport. Bogdan... - Oksana pochyliła się nad śpiącym w rzędzie po drugiej stronie autobusu mężem. Nie był zainteresowany toaletą.

Wychodziły jak pozostali, szybko, bez oglądania za siebie, jakby zrobiły przed chwilą coś brzydkiego i chciały opuścić miejsce zdarzenia, zanim ktoś zauważy.

Nie rozmawiały ze sobą, idąc wzdłuż niekończącej się kolejki autobusów. Autobusów pełnych cicho cierpiących za plecami władców małej Ukrainy na kółkach.

- Paszport? - Wyrósł przed nimi broniący dostępu do kibla polski funkcjonariusz straży granicznej.

Oksana podała dokument, a mężczyzna spojrzał na nią z pogardą.

- Tylko tam nie siedź za długo. Paszport? - zwrócił się do Lidki. Zerknął na okładkę i twarz mu złagodniała. - Chyba nie ucieknie nam pani na zawsze?

- Pomyśle... - wymamrotała, porażona różnicą, jaka zachodzi w człowieku w zależności od tego, czy rozmawia ze swoim, czy z obcym.

Światła na bramkach oślepiały, ciężko było dojrzeć transakcji prowadzonych przez pograniczników z wracającymi do domów emigrantami. Noc wydawała się Lidce ciemniejsza od wszystkich, jakie dotychczas widziała. Nieprzyjazna, najeżona, zaprogramowana na czuwanie. Przetrwać mógł tylko cwaniak i Lidka cieszyła się, że ma przy sobie Oksanę, gotową w każdej chwili cwaniaka z siebie wypuścić.

Świtało, gdy zostawili w tyle polski szlaban. Znaleźli się przed ukraińskim,

na ziemi niczyjej, pomiędzy dwoma krajami, które dzieliło więcej niż odległość. Stali w kolejce na rozległym placu, między dwoma bramkami biorącymi ich w nawias świata, a słońce grzało coraz mocniej w przyklejone do okien twarze.

Lidka straciła kontakt z fejsbukiem, ze sobą. Czuła się niewyraźna, nieokreślona, bez wpływu na cokolwiek, co od tej pory się wydarzy.

- Cztery i pół godziny... - Westchnęła, gdy ukraińskie kleszcze puściły ich wolno.

- Nie najgorzej - skwitował Bogdan, przeciągając się w fotelu. - Samochodem ze dwa razy tyle. Albo lepiej.

- Pięknie u was... - zauważyła Lidka, wpatrzona w panoramę okolicy.

Spokój szybko został zmałowany decyzją władcy autobusu o zmianie trasy. Poruszenie nie wynikało jednak ze świętego oburzenia. Na Ukrainie człowiek się nie oburza, na Ukrainie człowiek walczy o przetrwanie.

Ludzie zaczęli chodzić w tę i z powrotem, debatując głośno i szukając alternatywnego sposobu dotarcia do domu, wytęsknionego celu podróży. Towarzy-sze Lidki też byli zdezorientowani, obmyślając strategię przesiadki w miejscu, w którym nie istnieje coś takiego jak rozkład, bo kursy zmieniają się w zależności od humoru siedzących za kółkiem. Do kierowcy nikt nie miał pretensji, on też z niczego się nie tłumaczył, co Lidkę irytowało strasznie, ale dziwiło już coraz mniej.

Wysiedli na dworcu, wciąż nie mając gotowego planu. Władca ich autobusu odnalazł władcę innego i obaj, spokojnie wciągając do płuc papierosowy dym, obserwowali grupki nie wiedzących co ze sobą począć pasażerów.

Lidka też zapaliła. Miała za sobą długi dzień w pracy i nieprzespaną noc, przed sobą same niewiadome. Uwierała ją bezradność.

Czterdzieści minut później jechali ściśnięci podżartym rdzą autem przybyłego na ratunek sąsiada.

- Koleżanka coś cicha - zauważył Bogdan, przerywając głośną wymianę zdań ze współtowarzyszami podróży, wiercącą Lidce coraz większą dziurę w czasie. - Nie podoba się u nas...

- Podoba... - Kłamstwo nie brzmiało przekonująco. - Cicha, bo zmęczona.

Lidka marzyła tylko o łóżku i milczeniu. Jeszcze bardziej niż wcześniej cieszyła się na pokój w pensjonacie zamiast ich rozgadanego mieszkania i że ich tym uraziła. Teraz też czuli się urażeni jej niezadowolaniem. Miała odwagę być niezadowolona, a wtedy widzieli wyraźniej, jak mało odwagi w nich samych.

Wyciągnęła z portfela pięćdziesięciotówkę.

- Za paliwo.

- Schowaj to! - oburzyła się Oksana.

- Daj spokój, w dwie strony będzie jakiejś...

- Ale my nie Europejczyki - przerwał energicznie Bogdan. - Co tylko pienią-

dze liczą.

Nastała niezręczna cisza. Zupełnie inna od tej, której brakowało. Dopóki nie dotarli na miejsce, żaden z pasażerów nie odważył się już spojrzeć drugiemu w oczy.

Tanio, grzecznie, ale z zaciętym wyrazem twarzy. Tak przywitał Lidkę niewielki zajazd na odludziu. Bogdan z Oksaną załatwili formalności, zamówili dla niej obiad i odjechali.

Wreszcie mogła odespać. Nie wiedziała tylko, które łóżko wybrać w zastawionym aż trzema pojedynkami pokoiku. Padło na stojące samotnie pod oknem, chociaż wiedziała, że wyciąganie kopyt w stronę drzwi to słaby pomysł.

Przyniesiony przez nieodwzajemniającą polskiego uśmiechu Ukrainkę kotlet podrażnił jelita Lidki. Widok zafajdanej łazienki podrażnił o wiele więcej. Zaciśnęła zęby i w towarzystwie torsji wyszorowała rozbryzgane na muszli klozetowej, zaschnięte resztki czyjegoś gówna.

Odwroćenie ról. Po drugiej stronie granicy Oksana - księgowa z wykształcenia, zarządzająca swojego czasu własną knajpą - zeskrobywała od kilku lat gównó klasy średniej.

Przyjechała po Lidkę wieczorem, z nastoletnim synem, miesiącami wyczekującym rodziców pod okiem starszej siostry i babci. Nieśmiały, wrażliwy chłopak, tak bardzo niepasujący do szorstkiego świata tamtejszych mężczyzn. Zbierający regularne baty od agresywnych rówieśników.

- Łatwiej byłoby mu u nas - zauważyła Lidka. - Szału nie ma, ale trochę nasi faceci złagodnieli. Nie wstyd już nie być macho.

- Właśnie, teraz nawet nie zauważam, ale pierwszy raz na granicy to miałam ubaw! - próbowała zagadać temat Oksana. Jak zawsze, gdy był niewygodny. - Takie kobiece głosy mają wasi w porównaniu z naszymi!

- Dlaczego nie zabierzesz ich stąd? - Nie dawała się spławić Lidka.

- Zabiorę... Tylko niech Wiktor skończy szkołę. Nataszy i tak wszystko jedno, częściej mieszka w akademiku niż w domu. Zresztą, ona jest twardsza.

- Może tylko z wierzchu...

Lidka wiedziała, co mówi. Sama była twarda z wierzchu, w środku podatna na najlżejszy wstrząs galareta. Martwiła się o dzieci Oksany. Wiedziała, ile czereni zalewa nastolatka, kiedy rodzice go opuszczają. Miała nadzieję, że świadomość, iż tych dwoje robi to dla Wiktora i Nataszy, a nie przeciwko nim, pozwoli rodzeństwu przetrwać.

Zeszli we trójkę do pustej recepcji. Obsługa trwającego w najlepsze za ścianą wesela całkowicie wessała personel. Muzyka i uderzające o parkiet obcasy trzęsły przybytkiem.

Zza kuchennych drzwi wyjrzała głowa rozbawionej recepcjonistki. Dziewczyna machnęła niedbale ręką na znak, że ma ważniejsze sprawy niż klu-

cze opuszczających pokoje gości. Lidka, coraz bardziej poirytowana, wcisnęła w kieszeń chroniący dostęp do jej majtek i laptopa kawałek metalu.

Szli w ciemnościach wydeptaną pośród chaszczy dróżką. Co i raz doganiał ich śmiech gości weselnych zostawionego w tyle pensjonatu. Towarzyszył im aż do przystanku bez rozkładu, na ulicy bez samochodów. Aż do wypatrzenia w mroku i zatrzymania rozklekotanego autobusu.

Znów plecy kierowcy, siedzący za nimi smutni ludzie. Nerwowe przesiadki pasażerów na poboczach do busów przecinających ich trasę. Podskoki na niekończących się wybojach.

- Trzeba rozgrzać... - stwierdził Bogdan, gdy zmarznięta trójca dotarła wreszcie na miejsce. Gospodarz sprawną ręką napełnił winem domowej roboty stojące na stole w przytulnym salonie z kominkiem kieliszki.

Lidka zwiedzała kolejne pomieszczenia trzypokojowego mieszkania. Schłodzone, wykończone przez Bogdana kąty mocno kontrastowały z przeludnionymi norami, w których od kilku lat przyszło małżonkom żyć. Oksana krzątająca się we własnej kuchni, rozlewająca do misek parujący barszcz, była miłym dla oka obrazkiem. O wiele przyjemniejszym od widoku kobiety ścierającej resztki po posiłkach swoich pracodawców.

Natasza usiadła z nimi do stołu. Zbuntowana, podenerwowana. Wstydziła się mówić po polsku, chociaż razem z Wiktorem biegali od kilku miesięcy na lekcje języka. Ukraińska wymiana zdań między dziećmi i rodzicami szybko osiągnęła wysokie tony, wprawiające Lidkę w lekkie zakłopotanie. Jakiego w Polsce obcokrajowcy doświadczają zapewne na co dzień.

Oksana nie mogła usiedzieć w miejscu. Gościnnosci towarzyszyło napięcie, przymus zajęcia rąk, bo zajmowanie głowy było zbyt bolesne. Zmywając po kolacji, roztawiała do narożników walczące coraz zacieklej z ojcem rodzeństwo. Najbardziej ustawiany czuł się Bogdan.

- Usiądziesz wreszcie? - Lidka próbowała rozładować atmosferę. - Potem pozmywamy.

- Mama się nie szanuje - wtrącił Wiktor, nerwowo naciągając rękawy bluzy na kościste palce. - Babcia też tak mówi.

Przebiegły uśmiech wykrzywił twarz gospodarza.

- Widać, że sprzątaczką.

Cios był mocny, wszyscy go poczuli. Bogdan triumfował, popijał z kieliszka, rozkoszując się wygraną bitwą.

- A robicie coś, żeby nie było tak widać? - Słowa Lidki zawisły w powietrzu. Za ostre, wiedziała o tym, ale i tak najtępsze, jakie znalazła, gdy już opanowała przemożną ochotę rzucenia się mężczyźnie do gardła.

Niezręczną ciszę rozładowało wjeżdżające na stół ciasto i zmieniająca temat Oksana. Ale przy stole utworzyły się już dwa przeciwne obozy, ani śmiech, ani

cukier nie był w stanie ich do siebie zbliżyć. Dzieci triumfowały, Bogdan po swojej stronie został zupełnie sam. Dojadł, dopił i pod pretekstem odwiedzenia brata opuścił pole bitwy.

- Znowu mu nie zapłacili... - próbowała tłumaczyć zachowanie męża Oksana. - Ja dostaję dniówkę, nie zaboląoby, gdybym raz nie dostała. On robi cały miesiąc, a znowu ktoś go oszukał. Bogdan nie czuje się już głową rodziny, czuje się niepotrzebny...

Lidka poczuła wstyd za rodaków wykorzystujących brak papierka poświadczającego setki przetyranych dla nich przez obcokrajowców godzin. Wstyd za siebie, że przyszło jej do głowy kogokolwiek w tym ukraińskim domu oceniać.

Kiedy dzieci ze spuszczoneymi głowami rozeszły się do swoich pokoi, chciała pogadać z Oksaną o tym, co się zadziało. I o tym, gdzie to może prowadzić.

Przeszkodził dzwonek do drzwi. Młoda blondynka, którą spotkali wcześniej w autobusie, na nowo wypełniła dom prędkimi słowami. Myśli gospodyni mogły pobiec w kierunku nieudanych fryzur sąsiadek i wolnych terminów na paznokcie u zaprzyjaźnionej manikiurzystki, oddalając się na bezpieczną odległość od bolesnych tematów.

Lidka poczuła znużenie. Oksana co kilka zdań tłumaczyła dla niej na polski, ale po pewnym czasie sprawdzanie aktualności na fejsbuku wzięło górę, a to równie dobrze Lidka mogła robić, nie ruszając się z Polski. Wychyliła kieliszek i poprosiła o zamówienie taksówki.

- Tu nie jeżdżą... - Zmieszanie gospodyni było już stałym punktem programu. - Może ktoś z miasta?

Blondwłosa znajoma podchwyciła temat i zaczęła szybko tłumaczyć kto, gdzie i za ile. Gdy już wydzwoniły najodpowiedniejszego jej zdaniem człowieka, Oksanę ogarnął niepokój.

- Pojadę z tobą.

- Nie przesadzaj - oponowała Lidka. - To tylko taksówkarz. Co może mi zrobić?

Zaszklone oczy gospodyni zamrugały nerwowo.

- Tu Ukraina, tu nikomu się nie ufa...

- Zadzwoń do taty - rzuciła niby od niechcenia Natasza, wracając do salonu pod pretekstem uzupełnienia pustej szklanki sokiem. Pomarańczowy płyn chlupnął z kartonu. - Długo nie wraca.

- Dzwoniłam.

- Kiedy wróci? - dopytywał zwabiony rozmową o ojcu Wiktor.

- Nie wiem, nie odbiera...

Napięcie udzieliło się Lidce, rosło aż do przyjazdu taksówki. Gdy zajmowała przednie siedzenie zmęczonego przez czas auta, spojrzała w zatroskaną twarz machającej na pożegnanie Oksany. I strach złapał ją mocno za gardło.

Jednak nie miała się czego obawiać. To kierowca, zwinnie omijając dziury na nieoświetlonej drodze, podenerwowany, przeproszał co i raz za pozostawiającą wiele do życzenia jakość nawierzchni. Obiecał też, że nie odjedzie spod pensjonatu, aż Lidka bezpiecznie znajdzie się za drzwiami. Te natomiast przywitały ich zamknięte.

Po gościach weselnych nie było już śladu, widoczna przez szybę recepcja tonęła w mroku. Taksówkarz wysiadł z auta i wyraźnie zatroskany szedł w stronę przybytku. Lidka skarciła się w myślach za zwymyślanie go chwilę wcześniej pod nosem od namolnych dziadów. Z nadzieją powitała też podejrzanego dostawcę, który pojawił się nie wiadomo skąd w środku nocy i dołączył swoją pięść do dwóch już walących w drzwi.

Alkohol i emocje szumiały Lidce w głowie, gdy światła na parterze wreszcie rozbłyły, a ku wyjściu zbliżył się powoli wyraźnie niezadowolony mężczyzna. Niespiesznie przekręcił klucz w zamku, wpuszczając do środka trójkę rozmasowujących zmarznięte dłonie desperatów, po czym spokojnie pomaszerał za recepcyjny kontuar.

Przenówił tubalnym, budzącym trwogę głosem i chociaż Lidka nie rozumiała ani słowa, poczuła się bezbronna. Jej towarzysze próbowali tłumaczyć, odpierać atak, jednak zerkający spode łba rozmówca miał na wszystko krótką, nie znoszącą najmniejszego sprzeciwu ripostę.

Lidce nogi wrosły w ziemię. Była kompletnie zdezorientowana, nie mając bladego pojęcia, o co właściwie toczy się bitwa. Chociaż przecucie, że chodzi jedynie o upokorzenie obcej, powoli zaczynało trzeźwić.

Wybrała numer Oksany. Zatroskany głos kobiety przyniósł Lidce ulgę i obudził studzoną pogardliwym spojrzeniem mężczyzny zza kontuaru wolę walki. Po zdaniu szybkiej relacji z placu boju, podała mu telefon. Niechętnie uniósł go do ucha.

Niewzruszony, znów odpowiadał zwięźle i pysznie na rzucane w silnym wzburzeniu argumenty Oksany.

- Twierdzi, że to nasza wina, powinnaś zostawić klucz w recepcji. - Westchnęła kobieta, gdy aparat trafił z powrotem w dłoń Lidki. - Oni nie mają sobie nic do zarzucenia.

- Nie wierzę... A ta dziewczyna, co kazała zabrać?

- Niewinna, tylko my. Idź teraz spać, jutro przyjdziemy po ciebie z Wiktorem. - Oksana zwinnie przeszła na inny temat. Jak zawsze, kiedy czuła się w obowiązku wstydić za kogoś. - Zobaczysz Lwów.

- Dobrze... - wymamrotała oszołomiona Lidka. Kiwnąwszy uprzednio na pożegnanie w stronę broniących jej zaciekle kompanów, poczłapała schodami ku górze. W napięciu oczekując kolejnej farsy. Wliczonej, zdawałoby się, w życie po tamtej stronie granicy. A może po prostu w jej życie.

- Aż niemożliwe - zapewniała Oksana, gdy następnego ranka podskakiwali we trójkę na tyle pustego niemalże autobusu. - Ja wiem, że u nas często się psuje, ale żeby w ciągu dwóch dni napsuło się aż tyle!?

- Przyciągam takie historie. - Lidka nie chciała jedynie uspokoić współtowarzyszy, sama wierzyła w to, co mówi. Była już bardzo zmęczona Ukrainą, wycieczka do Lwowa nie cieszyła jej wcale. Najprzyjemniejsze we wczasach okazały się leniwe poranki w ciepłej hotelowej pierzynie, zanim pukała do drzwi Oksana, pragnąca z całego serca i z możliwie jak najlepszej strony pokazać swój kraj. - Bogdan wrócił?

- Rano, od wczoraj pił z bratem... - Głos Oksany załamał się. - Pierwszy raz nie wrócił na noc.

Resztę drogi przemilczeli, jak tych kilkoro pasażerów podskakujących na swoich siedzeniach pustego niemalże autobusu.

Wkrótce Lidka patrzyła na Lwów z wieży widokowej ratusza, piła medowuchę z banderowcami w Kryjówce, trzymała Masocha za jądra przy Serbskiej i udawała, że dobrze się bawi, aby nie sprawić zawodu uradowanej Oksanie. Gdy tymczasem rychły powrót do domu był jedyną sprawą zaprzatającą jej myśli.

Wieczór spędziła sama w pokoju. Chciała jak najszybciej spakować się, zasnąć i obudzić w dniu wyjazdu. Jak najszybciej stamtąd uciec.

Kiedy rankiem wypatrywali na dworcu kierowcy osobówki, u którego zarezerwowali miejsce, nerwy zaczynały puszczać wszystkim. Oksana - obawiając się kolejnej katastrofy - histeryzowała, że nie ma z mężczyzną kontaktu, Lidka warczała na nią, Wiktor próbował uspokajać obie.

Wreszcie auto odpowiadające ogłoszeniowemu opisowi podjechało i wysiadł z niego kierowca idealnie pasujący do załączonego zdjęcia. Zanim uniósł telefon do ucha, cała trójka stała już przy samochodzie. Jakby każde z nich nie mogło się doczekać pożegnania.

Andrzej prowadził dobrze, ale wolno, a Lidka chciała szybko. Grzeczny, rozmowny Ukrainiec mieszkający w Polsce. Zimą narty, latem morze. Specjalista w swojej dziedzinie, na ty z przełożonymi. Na zupełnie inne ty niż to, którym poczęstowała go polska straż graniczna, ale takie samo, jakim zwracała się do wszystkich przybyszów zmierzających ku mlekiem i miodem płynącej krainie. Lidka nadal była dla nich godniejszą szacunku panią, czemu dawali wyraz, zerknąwszy w paszport.

Po dziewięciogodzinnym postoju, Andrzej mógł ruszać w polską noc.

- Święta... - skwitował, przyzwyczajony do granicznych kolejek. - W święta najdłużej, dlatego zawsze kogoś zabieram.

Jednak Lidce nie chciało się nikogo zabawiać rozmową. Kiedy towarzysz podróży wrzucał kolejny temat, byle tylko nie pozwolić jej zasnąć, czuła, że zaraz sama nawrzuca jemu.

Wtedy na przydrożnym billboardzie zauważyła polskie litery. Potem kolejne. Mijali reklamy, znaki, szyldy, a łzy napływały Lidce do oczu. I zrozumiała, jak bardzo Oksanie, Bogdanowi i innym musi po tej stronie brakować cyrylicy.

III NAGRODA

KRYSTYNA LEWNA

STEFA

Ona nigdy nie pamięta, jak kończy się dzień. Pamięta jednak nader wyraźnie jego początek. Wtedy czuje ogromna suchość w gardle, piekotę taką, że nie jest w stanie jej określić. Uczucie to uprzykrza jej każdy poranek. Doskwiera i dokucza. Sięga po butelkę wody. Ale to powoduje jakby podrażnienie przełyku. Woda spływa lekkim strumieniem do żołądka, a suchość trwa i trwa. Stefa nie pieści się długo z poskromnieniem przykrego uczucia. Sięga prawą ręką do szafki nad kominkiem i wyciąga butelkę wódki. Odkręca ją i przykłada szczelnie do ust. Pije. Czuje, że jedynie ten napój może zaspokoić jej pragnienie i tak też się staje.

Wódka zabija przykre uczucie suchości, a przy tym daje jeszcze ukojenie duszy, która nader intensywnie o poranku dobija do drzwi zdrowego rozsądku i prosi o wysłuchanie.

Kobieta nie ma czasu na słuchanie. Nie chce jej się. Dosyć się w życiu nasłuchiwała. Od tego boli ją głowa i ma problemy. – Słuchanie nie jest dobre! – stwierdza po cichu i zaczyna się rozkoszować otumaniającym wpływem alkoholu.

Ten środek wyzwala w człowieku odwagę. Pomaga. Pomaga wtedy, gdy już nic i nikt nie jest w stanie ci pomóc.

Stefa wypila butelkę wódki. Potem wstała z kanapy. Podeszła chwiejnym krokiem do okna. Obejrzała „zakurzonych ludzi” przez swoje brudne szyby i niezgrabnym ruchem, chwyciła czajnik, by nalać do niego wody. Nie dała rady. Naczynie wypadło jej z ręki i potoczyło się po podłodze, wzdłuż długiego korytarza, gdzie stały dwie pary dziecięcych butów. Na nich to zatrzymał się uparty czajnik i czekał cierpliwie na podniesienie.

Stefa знаła tę złośliwość martwej natury. Zawsze tak robiły z nią sprzęty, jakby chciały przejąć kontrolę nad nią i nad jej czynami. Tym razem nie da się wplątać w tę cichą grę sprzętów domowych. Postanawia odpuścić. Wraca na swoje miejsce, ale po chwili zaczyna się nudzić. Wypiłaby coś jeszcze, lecz ze smutkiem stwierdza, że już niczego dobrego w domu nie ma. Alkohol trzyma

w jednym miejscu; w szafce nad kominkiem. Nie kryje trunku w różnych miejscach, bo nie jest alkoholiczką, tylko osobą, która może sobie pozwolić na krótką chwilę relaksu przy odrobinie wódki.

Szafka jednak była pusta. Stefa nie czuła się na siłach, aby zwlec się z kanapy i odbyć podróż do sklepu. To zadanie wydaje się jej nader trudne. Musiałaby się wykapać, uczesać włosy, założyć czyste ubrania..., a poza tym nawet nie wie czy ma pieniądze na zakupy.

Stefa nigdy nie myśli o sklepie w innych kategoriach, czyli tak jak miliony innych kobiet o poranku, które pędzą, aby kupić coś na śniadanie. O nie! Ona, Stefa, nie ma czasu na takie bzdury, jak śniadanie. Od tego ma dzieci; dziesięcioletnią Adę i ośmioletniego Gucia.

– Chcą śniadanie? To muszą o nim pomyśleć! – twierdziła kobieta i nie zaprzętała sobie tym myśli. Uporczywsza stawiała się chęć dopicia i na tym polegał cały jej kłopot.

– Może się zdrzemnie, a potem pójdzie! – pomyślała, ale sen nie chciał przyjść, więc tkwiła w tym swoim stanie wkurwienia i nie wiedziała, co począć. A to było najgorsze ze wszystkiego; niewiedza. – Gdyby jednak zdołała tu i teraz wykonać te wszystkie czynności, o których myślała, że trzeba zrobić, zanim się pójdzie do sklepu, wówczas byłaby zbawiona. Zatem jeszcze raz podnosi się z kanapy, ale jakaś siła ciężenia cofa ją wbrew jej woli z powrotem na legowisko. Stefa jednak nie zamierza się poddać. Jeszcze raz podejmuje próbę, która podobnie jak pierwsza, kończy się fiaskiem.

Rozwścieczona zaczyna uderzać ręką o ścianę, czym budzi dzieci. Stały przed nią i zaspanymi jeszcze oczami, badawczo na nią spoglądają.

Gucio ma podbite prawe oko. Olbrzymi siniak, robota Stefy, przemieszcza się wzdłuż prawego policzka i zaciąga na powiekę. Jest to modry ślad, oznaka wściekłości matki, która z wielkiej furii wymierzyła mu wczoraj cios prosto w oko. Chciała go zmotywować do tego, aby pilniej odrabiał lekcje. Dziecko tylko się jej zapytało; ile to jest trzy dodać osiem, a to niezmiernie ją zdenerwowało.

– Żeby dzieci nie znały takich odpowiedzi? – krzyczała i uderzyła chłopca. Ten zaczął płakać, a im głośniejsze zawodził, tym bardziej złościło to pijaną. Zaraz też wylała cały wór skarg o niewdzięcznych istotach, darmozjadach, robakach, pędrakach i zakałach, które, ją tak dobrą i uczciwą kobietę, trzymają w tej norze, bo to nawet domem nie można nazwać! – dodawała.

Rzeczywiście ich warunki egzystencjonalne urągały ludzkiej godności; ten jeden pokój, przegrodzony zasloną przybitą czterema papniakami do sufitu, i ta niby kuchnia – mała wnęka, gdzie stała gazówka dwupalnikowa i zlew jednokomorowy, też nie zasługiwała na miano kuchni. Jedynie kominek byłby jakimś oznaką komfortu, ale zapadł się już dawno, a cegły nieustannie sterczały

w tym samym miejscu. Nad nim jednak znajdowała się szafka jednodrzwiowa, tak zwany barek, gdzie Stefa trzymała swoje życie – alkohol.

Ada podeszła do niej i pochyliwszy się ostrożnie, zapytała, co jej jest. Ta zaczęła płakać i wrzeszczeć, że nie potrzebuje nikogo, że sama da sobie radę, że mają się wynosić. Dziewczynka chwyciła chłopca za rękę i zaprowadziła do łóżka. Nie wiedziała, co ma zrobić; czy zabrać go do szkoły, czy zostawić w domu. – Z takim okiem nie może pójść – myślała – nabiorą podejrzeń. Będą dopytywać. A gdy zabiorą od matki i gorzej jeszcze będzie? Co wtedy?

Myśli te trapiły ją uporczywie. Nie umiała znaleźć logicznego rozwiązania. Bała się i z tym strachem była sama, ona dziesięcioletnia zaledwie miała dziewczynka.

– Zostaniesz w domu! – nakazała bratu, a ten odwrócił się głową do ściany i nie odpowiedział. Sama zaczęła się ubierać. Przeglądała ubrania wśród sporej sterty rzeczy rzuconych niechlujnie w kąt, które cierpliwie oczekiwały na pranie. Na to jednak się nie zanosilo. Nie było na to czasu. Czasami dziewczynka sama coś uprała w zlewie, ale ubrania wcale nie wyglądały na czyste, były takie jak wcześniej, może tylko z tą różnicą, że nieco ładniej pachniały.

Smutna dziewczynka z rozczochranymi włosami wyjęła zza biurka dwie kromki chleba i posmarowała je równomiernie masłem roślinnym. Jeden kawałek zjadła, a drugi zostawiła dla brata. Potem wyszła cichutko prawie na palcach i poszła do szkoły.

Tam znowu musiała stawić czoło różnym pytaniom; gdzie jest brat, co z matką, czy macie co jeść, jak wam się żyje itd.

Umęczona i zdezorientowana siadała zawsze w tej samej ławce pod oknem. Siedziała sama. Żadne z dzieci nie chciało siedzieć z tą biedną i brudną Adą.

Czas w szkole dłużył jej się niemiłosiernie. Uśmiechnięte nauczycielki starały się jej nie zaglądać głęboko w oczy, jakby bały się, że zobaczą w nich prawdę i jeszcze będą musiały coś z nią zrobić. Zawsze przyglądały się uczennicy z dystansem. Czasami zdarzało się, że ją chwaliły, bo żadna nie miała odwagi, aby dokładać jeszcze jej zmartwień. Wszystko to jednak było bardzo pozorne. Zmyślone i udawane, jakby uczono ich tego na studiach; traktowania człowieka bez zauważania w nim człowieka.

Jedzenie przynosiła im sąsiadka – pani sklepikowa, która otrzymawszy pieniądze z gminy, zawsze podrzucała im parę niezbędnych produktów.

– Ty stara czarownico! – wrzeszczała na nią Stefa, która przyjęła spakowany chleb, cukier, kawę i masło roślinne. – Znowu mnie okradłaś! Nie dorzuciłaś nic, oprócz tego, co zawsze!

Sklepikowa była chytrą kobietą. Znała się na handlu. Nie lubiła Stefy i jej wrzasków, ale nie dyskutowała z nią. Stawiała karton i odchodziła. Wówczas Stefa zazwyczaj wybiegała za nią i przepraszała i prosiła, żeby ta zabrała te za-

kupy z powrotem i przyniosła alkohol. Błagała ją, nazywając złotą kobietą, cudowną..., lecz sklepikowa, mimo swego skąpstwa, miała odrobinę rozumu i wiedziała, że jeżeli przyniesie wódkę, to gmina zabierze jej pieniądze. Poza tym nie ufała Stefie. Podejrzewała ją o to, że ta mogłaby zadzwonić do urzędu i na nią donieść.

– Podzielić to dobrze i ukryć! – taki plan miał Guciu, który akurat zerwał się z łóżka i przechwycił karton z produktami, postawiony przez sklepikową. Moment był dobry, bo Stefa upraszała sąsiadkę o alkohol i nie zwracała uwagi na zakupy.

Chłopak znał dobrą skrytkę; za starym biurkiem. Tam matka nigdy nie zagląda, bo w drewnianej podłodze myszy wygryzły dziurę i kobieta bała się tych paskudnych gryzoni.

Stefa wróciła do domu. Usiadła na swojej kanapie i zaczęła płakać; trochę żalu nad sobą, a trochę nad tym, że trzeźwiała i nie była gotowa zmierzyć się z codziennością.

Nienawidziła życia i gdyby była odważniejsza, wówczas szybko zrobiłaby to, co trzeba. Przeniosłaby się w inne, lepsze miejsce. A tak musi siedzieć i cierpieć.

Organizm zaczął drzeć. Wewnętrzne rozchwianie powodowało w niej fizyczne cierpienie. Rozbiegane myśli stawały się linearną przestrzenią dla czasu, tak bardzo przez nią znienawidzonego.

Spoglądała na sufit, którego topografię opanowała do perfekcji. Znała każdy zaciek i wyrzuszenie, każdą szparę i niedoskonałe dociągnięcie malarskiego pędzla, przemierzającego go wieki temu. Pamięta, że nie była dużo starsza niż jej dzieci, kiedy pan Molek malował ściany. Pamięta zapach odświeżonych ścian i to, że było czysto, czyściej niż zwykle, ale później euforia przeminęła. Sufit przestał ją interesować. Stawał się ważny jedynie w momentach gorączkowego majaczenia, bo wtedy przypominał niezwykłą krainę; był tam i ocean, po którym szybko mknęły okręty i lasy i góry, i ona też tam była; niezwykła, odświętna i dobra, mała dziewczynka z pijackiej rodziny. Kiedy gorączka ustępowała, sufit znowu stawał się zwykłym sufitem i Stefa odwróciła buzię do poduszki. Nakryła nią głowę. Wydobywała z siebie nieludzkie dźwięki. Chciała nad tym zapanować, lecz bezskutecznie. Zaczynała mieć omamy. Tak wyraźne obrazy, projekcje minionych lat stawały przed nią rzeczywiste i realne.

– Puść mnie! Weź te łapska! Zostaw! Córo ciemności. Grzeszny bękarcie! – krzyki matki odbijały się w jej głowie niczym echo kotłującego się pomruku w skalistej nizinie.

– Nieczyste dziewczę! – zacytowała Stefa, odpędzając coś ręką dokoła swej głowy.

Pamiętała, że matka jej nienawidziła. Ten owoc kazirodczej miłości ojca do córki. Wspominała, że drżała i ukrywała się przed nim w studni. Opierała lekko

nogi na szparach między betonowymi kręgami i trzymała się kurczowo metalowego łańcucha, do którego doczepione było wiadro. Tylko tam była bezpieczna, w tej grocie śmierci, ale wołała to niż cuchnący oddech ojca na swojej szyi, niż jego ciepłe, szorstkie od pracy ręce na swoim małym biuście. Czy miała biust? Przecież ona nawet tego nie pamiętała. Może miała załążki piersi, dwie małe kropeczki ledwo co sterczące spod bluzki, do których stary przywierał tylko po to, aby szybko się w nią wsunąć, posapać, poprychać, aby równie szybko z niej wyjść i zostawić jak rzecz. Spenetrowaną zabawkę bez uczuć i myśli. Dopadał ją wszędzie, kiedy tylko nadarzała mu się okazja. Pozostałe dwie siostry milczały wystraszone. Może cieszyły się smutno, że to nie im się przydarzyło, a może nie rozumiały tego, że tak nie wolno. Czuły. Czuły, że to było złe i wstydziły się, jakby siebie, a nie winowajcy. Małe dziewczynki, które powinny bawić się lalkami. Pisać pamiętniki i zapłatać warkocze. Małe dziewczynki drżały jak listki osiki, targane każdym słowem ojca, tracąc prawie przytomność ze strachu.

Najgorsze były noce. Dom cichł, tylko z dworu powietrze niesło ciche odgłosy odpoczywających w oborach zwierząt. To ich lekkie pochrząkiwanie, muczenie i rzenie, było oznaką spokojności i prawidłowego rytmu życia. Niby bezrozumne istoty, a okazywały się bardziej ludzkie niż ludzie.

A małe dziewczynki... wtulone w siebie. Wpite i trzymające się kurczowo, nasłuchiwały w półśnie miękkich i groźnych stapań po drewnianej podłodze. Każdy szelest i skrzypnięcie natychmiast je wybudzało i zrywały się z pościeli ubrane, gotowe do ukrycia w śmiercionośnej kryjówce, jaką była studnia.

Ale stary był sprytny, kluczył drzwi. Wyciągał klucz i chował. Zawsze dopadał matkę Stefę. Była najmłodsza, najbardziej niefrasobliwa, nieporadna. Zakrywał jej ręką usta. Przywierał mocno do ściany i robił swoje. W korytarzu, w pokoju, na oczach pochowanych za zasłonami sióstr. Później puszczał i wtedy znajdowały się wszystkie trzy i kładły w taki sam sposób na łóżku, jak przedtem. Płakały. Głaskały się i obejmowały. Zmordowane i nieco spokojniejsze, bo było po wszystkim, bo mogły zasnąć snem głębokim. Trzy siostry, małe dziewczynki...

Kiedy matka Stefy zaszła w ciążę, stary nic nie powiedział. Nawet się tym nie przejął. Zamruczał coś pod nosem. Powiedział coś o młodości i to wszystko. Żadnego wstydu. Zażenowania. Nawet wypieków nie dostał na twarzy. Nic. Zupełnie nic.

– Takie rzeczy się zdarzają! – machnęła ręką jej matka i wróciła do swojej pracy. A pracy było mnóstwo. Mieszkali na małym folwarku, bliźniaczo podobnym do tego, który w czasach komunistycznych podlegał pod Władzę Ludową, taki mini pegeer, tylko z tą różnicą, że u nich było mniej rąk do pracy. Ona, jej dwie siostry i sześciu braci, byli zapędzani do roboty od zawsze, od kiedy na-

uczyli się chodzić. Zawsze w pośpiechu, zawsze trochę najedzeni, smutni i zdyszani, bezgranicznie podlegli władzy ojca - tyrana.

A kiedy ten „dobry” ojciec, pobożny człowiek rzucił w brata motyką do wybierania ziemniaków i chłopaka zabił, to chwycił dziecko i upozorował jego śmierć, wieszając go w drewnianym wychodku. Nikt nawet nie śmiał zapłakać, a tam przecież mały Stach zawisł. Zabity tylko za to, że żartował i rzucał w rozdeństwo ziemniakami.

– Nikt nie lamentował, przecież nikt nie narzekał? – majacząco dodawała Stefa w swoich omamach, które wracały z coraz silniejszymi projekcjami. Znow widzi swoją matkę stojącą w studni. Tym razem widać już u dziewczynki ciążę. Jej brzuch wystaje spoza za małej bluzki, a piersi, których nie była świadoma, stały się większe i obfitsze. Dziewczynka stoi i płacze. Opadające lzy nic nie znaczą w studziennej przestrzeni. Tam wody jest pełno. Po łzach nie zostaje śladu, ale strach został w niej do końca. Obrzydzenie również. Chciała to przepić, ale się nie dało. Cierpiała, a obraz wstrętnej ojcowskiej chuci, codziennie przemieszczał jej się przed oczami. Obraz zaprojektowany na jego podobieństwo – Stefa.

– To nie do wytrzymania! – wrzasnęła pijaczka i zrzuciła poduszkę z głowy. Tymczasem stanął przed nią Guccio. Rozespany z podbitym okiem. Stefa spojrzała na niego, na jego brudne od moczu majtki i roześmiała się. Jej śmiech nie był ludzki. Wydobywał się jakby z innej istoty. Pełen złości i jadu, przelewającego się z umysłu, duszy i innych, tylko przez nią zapamiętanych, postaci. Chłopak zawstydził się i rozplakał. Stefa odwróciła się twarzą do ściany. Leżała niespokojna, targana wspomnieniami. Później podniosła się i poszła do małej komórki, którą dzieci nazwały łazienką. Tam, nad zakamienioną umywalką, wisiało lustro, stare i poniszczone, które miało w sobie więcej czerni niż srebra. Stefa przywarła do niego mocno twarzą. Przycisnęła się tak, jakby chciała przez nie wydostać się do innego świata. Niestety, nie udało się. Uderzyła w nie z całej siły zaciśniętą dłońią. Lustro pękło i pokaleczyło kobietę. Ta przyglądała się uważnie swojej krwawiącej ręce. Czowała nieopisaną satysfakcję. Nareszcie jej myśli odbiegły na moment od dręczących obrazów i mogła skupić swoją uwagę na czymś innym. Przyglądała się cieknącej krwi. Strumień rozlewał się czerwienią nierównomiernie. Podniosła dłoń do góry. Wyjęła małe kawałki szkła, a później pomyślała, że dobrze by było tak się wykrwawić i umrzeć. Pozostać już tu na tej podłodze bez czucia i życia. Potem przypomniała sobie „Gnój” Kuczoła i „Pręgi” w reżyserii Magdaleny Piekorz. Sama nigdy tego nie przeczytała ani nie obejrzała, tylko słyszała, a raczej podsłuchiwała rozmowę dwóch studentek, kiedy jechała pociągiem. Teraz czuła, że jest właśnie taka, jak ci bohaterzy, że powielala grzechy nie swoje i że nauczyła się życia w męczących człowieko-

wi nawykach. Doszła do smutnego brzegu, na którym nie było uczucia, żadnego i to ją przeraziło. Spojrzała jeszcze raz na kawałki potłuczonego lustra. Oglądała się w nich i nie wiedziała czy przedmiot, czy ona jest bardziej potłuczona. Jej jeszcze młoda twarz dopominała się tej chwili uwagi należytej każdej kobiecie, jej modre oczy zabłysły przez chwilę w odbijających się skrawkach srebra, tylko po to, aby zaraz zgasnąć pod naporem myśli, że to nie jej twarz, lecz ojca-dziadka i to wytrąciło ją z chwilowej uwagi. Przesunęła dłoń po szkłe i zobaczyła inną niż swoją rękę - czystą z pięknie umalowanymi na czerwono paznokciami. To nie było w porządku. Głowa płała jej figle. Chciała zapłakać, lecz nie mogła. Serce tak stwardniało, że nie było w stanie drgnąć. Brzegi, które znała cuchnęły moczem, rozlanym alkoholem i rzygowinami. Słowa wyuczone okazywały się strzępkami myśli; brudnych i splątanych.

Ona, kobieta. Ona, Stefa stojąca na skraju urwiska, nawet nie umiała się pomodlić. Nie umiała, bo nikt jej tego nie nauczył. Zawstydziała się za siebie. Za matkę i ojca - potwora, za dom i dzieci, które urodziła. Wybiegła z komórki i znowu natknęła się na syna w żółtych od moczu majtkach.

- Będziesz taki sam jak ja! - oznajmiła. - Taki sam! Zatem przyjrzyj się mi uważnie!

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA ŁĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI ŁĘBORSKIEJ

PAULINA CZAJKOWSKA

WOLNOŚĆ NA MIĘKKO

Na śniadanie żona podała Józefowi jak zwykle dwa jajka na miękko, dwie kromki chleba razowego, cztery plasterki cienko pokrojonej szynki, kubek kawy zbożowej i garść tabletek – mieszanki leków przepisanych przez doktora i witamin, których zdaniem żony Józefowi brakowało. Nie było opcji, by dostać dla odmiany jajecznicę, czy coś.

– A mógłbym dostać dla odmiany jajecznicę, czy coś... – któregoś razu Józef odważył się nierozsądnie spytać żonę.

– Przecież ty nie lubisz jajecznicy, zapomniałeś? – odparła krótko żona i było po temacie. Więcej już do tego nie wracali. Józef pogodził się z tym, że nie lubi jajecznicy.

Czasami żona pozwalała sobie na śniadaniowe szaleństwa. W piątki zamiast szynki na chlebie łądował żółty ser, a gdy zaczynał się sezon na polskie pomidory, żona serwowała oprócz jajek dwa razy dziennie po jednym pomidorku pokrojonym w ćwiartki. Ale nigdy zimą, nigdy. Te zimowe pomidory smakowały jak papier, były mdłe i twarde, a takich przecież, jak mu powtarzała żona, Józef nie znosił.

Józef, jak się dowiedział z upływem lat, wielu rzeczy nie znosił. Mocnej czarnej kawy, po której nie mógł przecież zasnąć. Meczy piłki nożnej, bo kto by tam zrozumiał te wszystkie durne zasady. Rozmów z sąsiadką z drugiego piętra, tą dwulicową wdową, czyhającą tylko na cudzych mężów i ich emerytury. Zimowych spacerów po parku, bo mógłby przecież się poślizgnąć i złamać sobie biodro. Tak, tak, Józef wielu rzeczy nie znosił, chociaż czasem zastanawiał się, dlaczego.

Po przełknięciu garści tabletek, żona szykowała Józefowi ubranie. Otwierała na oścież szafę i wyciągała złożone w równą kostkę podkoszulki i spodnie, mrużąc przy tym pod nosem, że gdyby nie ona, to Józef zginąłby z głodu i chłodu. Józef czasami – ale tylko czasami – myślał, że żona pewnie lubi wyobrażać sobie siebie samą jako żeńskiego Atlasa, dźwigającego firmament. Z tym, że pewnie uważała, że praca Atlasa była i tak niczym w porównaniu do tego wszyst-

kiego, co ona przez lata musiała nieść na swoich wątłych barkach. No i Atlasowi nic nie dorzucano, równomiernie rozłożono mu ciężar, a jej rok w rok dochodziły nowe, głównie józefowe problemy, z którymi przecież Józef sam nie dałby sobie rady.

– Nie potrzebuję nowego podkoszulka, ten wczorajszy jest jeszcze czysty – odezwał się nieśmiało Józef, ale żona tylko zmarszczyła brwi.

– Wczoraj wieczorem tak grzali w kaloryferach, że na pewno się spociłeś. Nie będziesz chodził w przepoconym podkoszulku – dodała i wręczyła Józefowi czystą koszulkę. – Swoją drogą muszę zadzwonić do spółdzielni. Kto to widział, by tak grzać na początku września. Dwadzieścia stopni na zewnątrz, a oni już palą w piecach, jakby ogłoszono zimę stulecia!

Racja, Józef pokiwał głową. Zapomniał całkiem, że wczoraj było ciepło i że się spocił. Dobrze, że miał żonę od takich rzeczy.

– Dobrze, że masz mnie od takich rzeczy. Inaczej zginąłbyś już dawno, albo ta Jadźka z drugiego piętra wziąłby cię w obroty, oj wzięłaby ostro. Zobaczyłbyś wtedy, jak ci dobrze ze mną było – dodała żona.

Kilka razy do roku żona roiła sobie, że Józef już jej nie kocha, a na pewno to już ją zdradza, z Jadźką, a z kimże innym, jak nie z nią. Kto to widział, żeby z taką figurą nosić takie kuse sukienki, i to w tym wieku! Żona łkała w fotelu, a nieszczęsny Józef nie wiedział, jak jej pomóc. Oferował herbatę, nerwosol, świeży sernik z cukierni pod blokiem, zapewniał o swoich niezmiennych uczuciach i o tym, że nigdy nawet się na Jadźkę nie spojrzał, ale żona nie reagowała. Łkała dalej, wydymuchując głośno nos od czasu do czasu. Józef chodził wtedy z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W końcu żona po kilku godzinach mordęgi wstawiała z fotela, rozczochrana, z rozmazanym tuszem i garścią chusteczek w rękę i oznajmiała Józefowi, że co by nie było, to ona mu wybacza. W końcu przysięgała przed ołtarzem, że będzie z nim aż do śmierci.

– A gdy już pierwsze garście ziemi polecą na moją trumnę, to dopiero wtedy możesz Jadźce pozwolić się tu wprowadzać, ani chwili wcześniej – mówiła, a Józef rzucał się całować jej dłonie i powtarzał, że gdy jej już zabraknie, to on z pewnością zejdzie z tego świata krótko po niej. Bo jakby mógł żyć sam na tym okrutnym świecie bez swego anioła.

Anioł uśmiechał się tylko pod nosem, poklepywał go po głowie i mówił, żeby Józef przestał histeryzować. I Józef przestawał, ale po każdej takiej sytuacji przybywało mu kilka siwych włosów na głowie.

Każdy dzień tygodnia miał swój określony rytym. W poniedziałki i w czwartki chodził z żoną na zakupy. Najpierw szli do mięsnego, po ulubioną szynkę Józefa i mięso na obiad. Potem zahaczali o warzywniak i piekarnię. Raz w miesiącu chodzili dodatkowo do tego dużego marketu na końcu ulicy, gdzie zaopatrywali się w różne inne rzeczy niedostępne w pobliskich sklepikach. Wtorki były

dniem prania. W soboty sprzątano całe mieszkanie od góry do dołu. Piątki żona przeznaczała na wizyty u lekarzy. Biedny Józef chorował przecież na tyle rzeczy, że trzeba było regularnie co tydzień do któregoś doktora na zmianę chodzić. W niedzielę zaś przyjmowano gości. Koleżanki żony z rodzinami, dalekie kuzynki, znajomi z chóru – przychodzili na kawę i kawałek sernika z cukierni. Poza tym popołudniami, po zjedzonym obiedzie, żona i Józef zasiadali przed telewizorem i oglądali jeden po drugim te same programy, co zawsze. Żona nie próżnowała nawet wtedy. Zawsze miała w rękę szydełko albo druty. Józef często przysypiał w fotelu, co drażniło żonę. Przegapiał przez to co ciekawsze fragmenty odcinków.

A w środy Józef miał wychodne.

Raz w tygodniu po obiedzie Józef mógł samodzielnie wyjść z domu i robić co chce. No, może brzmiało to lepiej niż było naprawdę, ale dla Józefa środy były upragnionym dniem tygodnia, do którego odliczał niecierpliwie godziny. Po obiedzie miał czas dla siebie. Pod pewnymi warunkami mógł wychodzić do parku, do biblioteki, albo do dawnego kolegi z pracy. Musiał tylko pamiętać, by się nie forsować zbyt, ciepło ubierać, zawsze zabierać ze sobą telefon, uważać na przejściu dla pieszych, pod żadnym pozorem nie pić piwa, nie rozmawiać z Jadźką i wracać punktualnie na wieczorne wiadomości. Te dwie godziny znały dla Józefa wiele, dlatego przestrzegł przykazań żony. Lepsza taka wolność, niż żadna, prawda?

Niektórzy urodzili się już jako buntownicy i od małego głośno domagali się swoich praw. Inni czuli w sobie odwagę do zmian tylko wtedy, gdy mieli za plecami grupę ludzi im kibicujących. Józef nie był ani buntownikiem, ani nie miał nikogo, kto popychałby go do buntu. Ale jednak latami, dzień po dniu, coś w nim kiełkowało. Myśl zasiana dawno temu, iskierka, która odpowiednio podtrzymywana mogła spowodować pożar całej puszczy. I któregoś razu Józef poczuł, że to nadszedł właśnie ten moment. Że jeśli nie dziś, to już nigdy.

Przy śniadaniu Józef głośno oznajmił, że nie chce jajek. Prosi za to o płatki z mlekiem i kubek czarnej kawy.

Żona o mało co nie upuściłaby talerza.

– Słucham? – zapytała. – Dobrze wiesz, że nie możesz pić mocnej kawy. A jajka zalecił ci pan doktor, pamiętasz?

Józef poczuł, że przesadził. Trzeba zacząć od drobnych zmian. Zrobił więc krok do tyłu, czego zaraz pożałował.

– Zapomniałem – powiedział cicho. – Poproszę o jajka.

Jeszcze nigdy w życiu jajka na miękko nie smakowały mu tak źle. Z każdą łyżeczką czuł się coraz gorzej. A chleb z szynką stawał mu w gardle. W końcu nie wytrzymał. Odsunął z hałasem od siebie talerz, pobiegł do łazienki i wymiotował całe śniadanie.

Żona zaczęła krzyczeć.

– Józefie! Co ci jest?! Jesteś chory? Wezwać karetkę? – lamentowała nad nim. A Józef spokojnie umył twarz i wypłukał usta, przyglądał włosy i odwrócił się do żony.

– Nigdy więcej – powiedział, łapiąc ją delikatnie za oba ramiona. – Nigdy więcej nie zjem jajek na miękko.

Minął zdezorientowaną żonę i poszedł do pokoju się ubrać.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyczała żona wparowując za nim do pokoju. – To pewnie przez ten wczorajszy sernik. Czułam, że jest nieświeży. To on ci na pewno zaszkodził...

Żona nie przestawała mówić. Józef wyłączył się na chwilę. Często mu się to zdarzało. Żona wprawdzie potem powtarzała, że on niedosłyszy i że koniecznie powinni sprawić mu aparat słuchowy. Ale Józef tylko tak mógł uciec od swego anioła.

– Wychodzę – oznajmił po kilku minutach, podczas których żona zdążyła przekląć wczorajszy sernik, cukiernię, w której go kupiła, piekarzy, którzy go zrobili oraz producentów i dostawców mąki.

Nie od razu dotarło do niej, co Józef powiedział.

– Wychodzę – powtórzył Józef sięgając po kurtkę. – Wrócę za godzinę lub dwie – dodał.

Świat żony stanął na głowie i zrobił fikołka.

– Nie możesz – powiedziała drżącym głosem. – Przecież dziś idziemy na zakupy.

– Nie chcę – Józef wzruszył ramionami. – Idź sama, albo zrobimy zakupy jutro.

Jutro! Jakby Józef nie wiedział, że zakupy robi się w poniedziałki! Nie można ot tak niszczyć starannie od lat budowanego systemu!

– Ale przecież pada deszcz – powiedziała żona tonem, który jej zdaniem przesądzał sprawę. – Nigdzie nie pójdziesz – dodała z zadowolonym uśmiechem. Znalazła wyjście z tej dziwnej sytuacji. Nie rozumiała, co wstąpiło w Józefa. No, ale zaraz się rozwiąże ten problem. Da się Józefowi melisy, po której ten zdrzemnie się trochę i znowu wszystko wróci do normy. – Przeziębisz się, jeśli wyjdiesz.

– I bardzo, kurwa, dobrze – odpowiedział spokojnie i stanowczo Józef, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, zostawiając zdumioną i przerażoną jego wulgarną odpowiedzią żonę w mieszkaniu.

Gdy wyszedł na podwórko, obejrzał się lękliwie za siebie. Przez chwilę żałował swojego wybuchu, chciał wrócić do żony i ją przeprosić. Ale gdy tylko poczuł na włosach krople deszczu, zrezygnował z tego pomysłu. Ruszył w stronę centrum.

Gdy dotarł do starówki, rozpadało się na dobre. Józef wszedł do pierwszej kawiarni, jaką zauważył. Pachniało w niej cynamonem, a w tle grało cicho radio. Józefowi zdawało się, że słyszy z tyłu głowy żonę, krzyczącą, że od samego zapachu kawy serce Józefa już dawno powinno stanąć, ale zignorował je. Usiadł przy małym stoliku w kącie, rozwiślał na oparciu krzesła mokrą kurtkę i zamówił mocną kawę i dwa kawałki ciasta. Obojętnie jakiego, byle nie sernika. Józef zanotował sobie w duszy, że oprócz jajek na miękko już nigdy więcej nie tknie sernika, choćby od tego zależało jego życie.

Rozejrzał się po kawiarni. Nie było w niej za wielu klientów. „Pewnie za wczesna pora,” pomyślał Józef. Kelnerka już po chwili postawiła mu na stoliku kubek kawy i talerzyk z ciastem. Jablecznik i czekoladowa babeczka. Józefowi, nie wiedzieć czemu, łzy napłynęły do oczu.

– Coś się stało? – zapytała kelnerka niespokojnie.

– Wszystko w porządku – Józef pokiwał głową. – Po prostu bardzo się cieszę, że tu jestem.

Kelnerka uśmiechnęła się nieśmiało i podeszła do innego klienta.

Gdy Józef po latach próbował sobie przypomnieć ten dzień, to w pamięci miał przede wszystkim smak kawy i swoje zmarznięte stopy. Przemokły mu na deszczu buty, ale wtedy się tym nie przejął. Żona pewnie by się przejęła, ale jej tu przecież nie było. Józef zastanawiał się, czy tak właśnie dochodziło do rewolucji i powstań. Bez wielkich fajerwerków i podniosłych pieśni, parad wojskowych i przemówień przed tłumem ludzi.

Żona czekała na Józefa w domu. Zapłakana, skulona na swoim fotelu, z rozmazanym tuszem.

– Zawsze wiedziałam, że zdradzasz mnie z Jadźką, zawsze – powiedziała, gdy tylko ujrzała Józefa.

Józef chyba po raz pierwszy w życiu nie rzucił się do kolan żony, by zapewnić ją o swojej wierności. Ściągnął mokre buty i sięgnął do szuflady po czyście skarpetki.

– No, powiedz coś! – krzyknęła zrozpaczona żona. – Co takiego ci było brak, czego w domu nie miałeś?!

– Wolności – powiedział bez zastanowienia Józef, naciągając skarpetki na stopy.

– Bo jakbyś akurat wolności do szczęścia koniecznie potrzebował – syknęła żona gniojąc w rękę papierową chusteczkę.

Józef nic nie odparł na to. Pożar puszczy właśnie się zaczął. Na iskierkę pałała garść suchej trawy, a potem ogniem zajął się pierwszy krzak. Już nie dało się tego zatrzymać. Józef poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Nawet ta jego mała i cicha rewolucja potrzebowała jakiegoś symbolicznego gestu. Wyciągnął więc z lodówki wszystkie jajka i zaczął je wyrzucać pojedynczo przez okno. Łą-

dawały lekko na chodniku, rozpryskując się na wszystkie strony. Żona, która pobiegła za nim do kuchni, krzyczała coś o tym, że oszalał i że natychmiast dzwoni po karetkę. A Józef uśmiechnął się pod nosem i postanowił sobie, że dziś wieczorem obejrzy w telewizji mecz piłki nożnej.

WYRÓŻNIENIE DLA TWÓRCY Z ZIEMI ŁĘBORSKIEJ

ALEKSANDRA KALINOWSKA

NA MOIM OSIEDLU

Skrzydła

Kiedys uwierzyłam, że umiem latać i to tak całkiem na poważnie. By imponować dzieciakom z podwórka, którzy niekoniecznie chcieli się ze mną bawić, opowiadałam, jak to wieczorami unoszę się nad blokami i zaglądam do ich okien. Spotkało się to z wielkim sceptycyzmem zmieszanym z delikatnym przerażeniem, że może jednak to prawda. Aby zadać kłam niedowiarkom, moje sześciolatnie ja, postanowiło wszystkim to udowodnić. Potrzebne były oczywiście skrzydła. Bez nich się przecież latać nie dało. Pobiegłszy do babci poprosiłam o pióra. O dużą ilość piór. Okazało się, że miała ich aż trzy, zebrane gdzieś w lesie od nieuważnych ptaków. Trudno, trzeba było to jakoś załatwić inaczej. Na trzech piórach przecież nigdzie bym i tak nie poleciała.

Z babcinej piwnicy dostałam wielki biały styropian po telewizorze. Miałam w głowie obraz pięknych anielskich skrzydeł z białymi jak śnieg piórami, ale ostatecznie stary styropian też się nadał. Nie można wybrzydzać, jeśli chce się coś osiągnąć.

Problem pojawił się wraz z uświadomieniem sobie, czym te skrzydła wyciąć. W ruch poszedł nóż do masła i paznokcie. Nadmienię, że skrzydła miały onieśmielać wielkością i detalem. Ostatecznie były raczej dalekie od tej wizji, ale przynajmniej wielkość była dość imponująca.

Dwa dni później, skrzydła były gotowe na swój pierwszy lot. Grupa dzieciaków zebrała się pod blokiem, żeby na własne oczy wszystko zobaczyć. Założyłam na plecy dzieło moich zdolnych rąk i stanęłam na środku ulicy, aby móc się odpowiednio rozpędzić. Dobry start to podstawa. Zaczęłam biec.

Nie pamiętam dokładnie, jak bardzo się ze mnie wtedy śmiano, ale ja patrząc w niebo czułam, że naprawdę unoszę się między chmurami

Dinozaury

Wyobraź sobie, że pewnego dnia wychodzisz z bloku, a tam około trzydziestu kopców surowej ziemi rozmieszczonych w dziwnym szyku. To mistyczne zjawisko od razu zwróciło moją uwagę, mnie – przedszkolaka mającego ambiencje zostać w przyszłości archeologiem.

Chwyciłam więc swoją plastikową łopatkę, weszłam na szczyt kopca i zaczęłam w nim drążyć dziurę. Po jakimś czasie odkryłam pierwsze znalezisko. Był to kawałek kości. Potem było jeszcze ciekawiej, ponieważ dalej była już cała kość. Ogromna kość. Za to kiedy znalazłam także długą szczękę z zębami to już wiedziałam na pewno: to musiały być dinozaury. Już widziałam te nagłówki w gazetach „Najmłodsza bohaterka świata nauki, dokonała niezwykłego odkrycia tuż obok swojego bloku”. Wszyscy musieli się o tym dowiedzieć.

Inne dzieciaki, zainteresowane moim intensywnym kopaniem oraz zachęcane odkryciami, przyłączyły się do wykopalisk. Poszukiwania rozniosły się na jeszcze pięć kopców. Wszystkie znaleziska wkładaliśmy do czarnych worków na śmieci, aby ich nie zgubić. Po rozkopaniu niezwykłych górek powstały w nich niecki, które zaczęliśmy przysposabiać do prezentowania naszych znalezisk. Tworzyliśmy prawdziwe ośrodki kultury, muzea, do których inne dzieci mogły przyjść i za okazaniem biletu-liścia z krzaka obok, podziwiać kości dinozaurów. Opiekunowie wystawy opowiadali chętnym zwiedzającym o znaleziskach. Ja natomiast, zajmowałam się reklamą całego wydarzenia, zaczepiając obcych ludzi, rozgłaszając, że niedługo przyjedzie telewizja i wszyscy będziemy sławni.

Telewizja nie przyjechała, nikt nie usłyszał o naszych dokonaniach. Za to tydzień później przyjechał walec i wszystko zrównał tworząc drogę i parking. Sąsiedzi nie zdawali sobie nawet sprawy, że parkowali samochody na drogocennych szczątkach prehistorycznych istot. Prawdziwi ignoranci.

Zaćmienie Słońca

W dniu zaćmienia Słońca wszyscy byli podekscytowani i chcieli je koniecznie zobaczyć. Każdy nosił ze sobą kawałek kliszy fotograficznej, aby móc wszystko dobrze widzieć i nie stracić przy tym wzroku, patrząc prosto w słoneczne światło. Ja również byłam nie mniej zafascynowana całym wydarzeniem. Czekałam na nie od dawna, a gdy ten dzień w końcu nadszedł, nie mogłam się doczekać. Kiedy jednak wstałam rano, okazało się, że pełne zaćmienie będzie dopiero popołudniu. Musiałam jakoś do tego czasu znaleźć sobie zajęcie. W tym czasie moją nową zabawą było budowanie piaskowego miasta na skraju kałuży i to właśnie na tej zabawie upłynął mi dzień.

W końcu nadszedł moment, na który ludzie na osiedlu, czekali od rana. Wszyscy zadzierali twarze w górę patrząc w niebo. Za to ja wlepiłam wzrok w ziemię, bo wielka kałuża właśnie zalewała piaskową metropolię. Musiałam wybrać, co w tamtym momencie naprawdę się dla mnie liczyło. Czy moje umierające właśnie miasto, które musiałam ratować, czy zaćmienie Słońca, które powtarzało się co sto pięćdziesiąt lat. „Poczekam na następne” – pomyślałam i wróciłam do kopania piasku.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

MARIA KOCOT

KIEDY W AUSCHWITZ KWITŁY RÓŻE

Mrs Helen, możemy zaczynać? – młoda, elegancka reporterka spojrzała na wchodzącą do studia nagrań starszkę. – Ekipa jest gotowa. Bardzo proszę – gestem wskazała, aby starsza kobieta usiadła.

Seniorka spoglądała przez okno nowojorskiego wieżowca, w którym odbywało się nagranie. Jej przeszywający wzrok przyprawiał o dreszcze.

– Nie wiem, dlaczego po tylu latach zdecydowałam się na to nagranie – szepnęła. – Pewnie „New York Times” zaciera ręce, że będzie miał wywiad ze światowej sławy pianistką.

– Of course! – zawołała zadowolona reporterka. – Jesteśmy zaszczyceni, że możemy gościć tak wielką osobowość w ramach programu „Wielkie postacie Nowego Jorku”... I nie dokończyła, bo starszka weszła jej w słowo:

– Nie, nie chcę mówić o Nowym Jorku. Moje serce zostało w Krakowie. Kraków...moje miasto, moja Itaka, moja mała Ojczyzna. Tutaj się urodziłam, tutaj stawiałam pierwsze kroki i tu zostawiłam swoją młodość... Tutaj na zawsze zostało moje serce. Ale od początku. Urodziłam się w 1919 roku. Wtedy miasto oszałamiało swoim pięknem, pełniąc z dumą rolę ośrodka kulturalnego i politycznego.

Reporterka spojrzała głęboko w błękitne oczy starszki i zobaczyła w nich tamtą młodość i tęsknotę za dawnymi czasami.

– Do dziś czuję zapach tamtych dni – kontynuowała swą opowieść starsza pani. – Wody kolońskiej mojego taty, szanowanego przed wojną prawnika, delikatnych lawendowych perfum mamy, wielkiej damy, o nienagannych manierach. Mój czcigodny tatko, mecenas Abraham Gumptrich, uważany był za wybitną osobistość Krakowa. Cała śmietanka towarzyska miasta prześcigała się w chęci zaproszenia go na popołudniową herbatkę. W parze ze sławą szły ogromne pieniądze. Mieszkaliśmy w bajecznie bogatej willi, na przedmieściach. Lata upływały mi w rytm melodii wygrywanej na fortepianie. Ów instrument towarzyszył mi odkąd tylko sięgałam pamięcią. We wtorki przychodziła pani Hermanowa, nauczycielka wprowadzająca mnie w tajniki gry na tym instrumen-

cie. W soboty z kolei schodzili się Schulzowie na popołudniową herbatkę, którą delektowaliśmy się w ogrodowej altanie. Później goście zapraszani byli do salonu, gdzie siadałam do fortepianu i grałam. Uderzałam wtedy nie tylko w klawisze, ale i w ludzkie serca. Szczególnie jedno z nich biło mocno na mój widok. Józio Schulz, syn barona von Schulza i współnika mojego ojca, wodził za mną swymi brązowymi, maślanymi oczyma. W świat naszego dzieciństwa oboje z Józkiem wchodziliśmy boso, wydeptując gołymi stopami każdy skrawek mojej posiadłości. Obsiadaliśmy gałęzie drzew niczym dzikie ptaki, chichocząc i szepcząc wśród traw. Pochłonięci rozmowami i drobnymi sekretami próbowaliśmy zrozumieć świat, który otaczał nas ciasnym kokonem. Nie pamiętam nawet kiedy na moich stopach pojawiły się buciki na modnym obcasiku. Wtedy to pierwszy raz dostrzegłam błysk w oczach mojego dziecięcego przyjaciela. Pamiętam, kiedy spojrzałam na Józia, on nieśmiało odwrócił wzrok. Wtedy uderzyła mnie myśl, że oto nasze dzieciństwo ucieka gdzieś daleko swoimi bosymi stopami...

Rok 1939 podarował nam niezwykle malownicze lato. Rozgrzane słońce obejmowało nas ciasno swoimi promieniami, jak gdyby chciało ochronić przed nieuchronnym losem, który miał nadejść. Otulając się naszą młodzieńczą naiwnością, przemierzaliśmy wzgórza Wawelu, zwiedzając groby polskich królów.

- Józku, jakież to kiedyś straszne czasy były. Tyleż wojen – wypowiedziałam wtedy słowa.

Potem udaliśmy się nad Wisłę i upajaliśmy się jej turkusową wodą, płynącą leniwie szerokim korytem i liżącą z zachłannością brzeg.

- Łuuu, jesteście nieśmiertelni! – krzyknęliśmy naraz wrzucając kolorowe kamyczki do szumiących wód rzeki.

- Rzeka będzie istnieć wieki, tak jak i nasza przyjaźń – rzekłam naraz.

Józio popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie swoimi brązowymi oczyma.

- Dla mnie to nie tylko przyjaźń, Helenko... – szepnął cicho, a moje policzki stały się płaszczyzną.

- Za dziesięć lat o tej samej porze spotkajmy się tutaj, wówczas powtórzę te słowa...

- Dobrze, za dziesięć lat nad brzegami Wisły. Gdyby ktoś zechciał nas rozdzielić, połączmy nas znowu spotkanie nad Wisłą – podchwyciłam tę myśl.

Spojrzałam na szumiącą rzekę. Ileż ona lat tu płynie? Czy odpoczywający w grobach królowie wylewali łzy do niej i powiększali w ten sposób jej wody? A może rzeka słyszała już niejednego sekret, niejedną obietnicę, tak jak to miało miejsce w moim przypadku?

Potem przyszedł wrzesień i oblał ciemnością nasz beztroski świat, nasze miasto i naszą młodość. Tylko łąka nad Wisłą wyrwała się spod czyichś dłoni i rosła nieokiełzana przez nikogo, a rzeka nadal płynęła jakby nieświadoma niczego. Zachłanność Hitlera przekreśliła plany wszystkich młodych Polaków,

w tym i moich. Planowałam studiować na Akademii Muzycznej w Wiedniu, a zamiast tego zmuszona byłam grywać w ukryciu. To w rytm wygrywanych przeze mnie melodii zaczął rozpadać się mój świat. Józio z mojego przyjaciela stał się nagle poważnym majorem Schulzem, w pełni oddanym swojej ojczyźnie i 4 pułkowi, którego był dowódcą. Muzyka wygrywana przeze mnie stawała się coraz bardziej smutna, cicha, mroczna... Pewnego dnia ojciec oznajmił smutnym głosem:

- Nie wolno ci mi już grać na fortepianie, Helenko. To zabronione...

Odtąd stałam się milcząca, jednak muzyka wciąż rozbrzmiewała mi w uszach. Mogli zabrać mi wszystko, jednak moje myśli wciąż należały do mnie. Tymczasem Kraków, a właściwie Krakau, pod hitlerowską flagą codziennie pokazywał mi swoją przepełnioną bólem twarz. Już w trzydziestym dziewiątym okupanci rozpoczęli akcję likwidacyjną polskiej inteligencji. Dla nas, rodziny profesorskiej, oznaczało to wyrok śmierci. Tatuś bowiem, prócz prowadzenia najbardziej znanej kancelarii adwokackiej, wykładał prawo międzynarodowe na Uniwersytecie Jagiellońskim.

- Spakuj tylko najbardziej potrzebne rzeczy, Helenko – usłyszałam pewnego dnia. – Przeprowadzamy się.

- Dokąd? – wymamrotałam. Smutny wzrok ojca dał mi już odpowiedź na to pytanie.

Tego samego dnia udało mi się podsłuchać strzępki nerwowych rozmów rodziców. Podniesiony głos tatka krzyczał:

- Dwa Kossaki i lokata w banku w Zurychu powinna wystarczyć. Obiecał, że przechowa nas na strychu. Dołożę jeszcze parę dolarów i wyrobią nam Kennkartę...

- A do diabła z tymi twoimi Kossakami! Trzeba było wyjechać do Szwajcarii w trzydziestym siódmym... Ale nie, ty musiałeś spełniać swoją naukową misję na tym cholernym uniwersytecie... Szlachetny pan Abraham, ot co!

- Przestań już, Marianno, na Boga, jest wojna. Ratajscy obiecali, że pomogą i zrobią to, obiecuję.

Niebawem miałam okazję przekonać się, co oznaczają te słowa. Otóż nadzedł dzień, w którym przenieśliśmy nasze dotychczasowe życie, nadzieje, myśli, uczucia i marzenia do śmierdzącego stęchłąką pokoiku na strychu. Tatuś obiecał, że mecenas Ratajski, jego dobry znajomy, przechowa nas tutaj do końca wojny.

- Helenko – zwrócił się do mnie. – Tutaj obowiązują nowe reguły. Nie możesz głośno rozmawiać, śpiewać, kichać ani kaszleć. Pamiętasz – zaśmiał się – ile razy jako dzieci bawiliście się z Józkiem w „niewidzialnych”. Teraz właśnie taka zabawa będzie trwać całymi dniami – tatko próbował żartować, ratując sytuację, mnie jednak wcale nie było do śmiechu.

W ten sposób zaczęliśmy nowe życie. Szare, milczące, pełne głodu i to nie

tylko za pożywieniem. Byłam głodna kolorów natury, rozmów ludzi zasłyszanych na ulicy, odgłosów śpiewających ptaków i szumu Wisły. Wszystko to zostało nam odebrane. Wszystko. Rytm dnia wyznaczał zegar znajdujący się na końcu ulicy. Tykał i odmierzał głośno czas, jakby cynicznie pokazywał nam, ile to czasu zostało nam odebrane. Czasami liczyłam każde tyknięcie zegara, obiecując sobie, że po wojnie wykorzystam czas najlepiej, jak będę potrafiła. Zagram tysiące koncertów, zwiedzę kilkanaście krajów...

- Odegram się na tobie – mawiałam do tykającego zegara. Jednak było coś, czego nikt mi nie odebrał. W uszach dźwięczała mi wciąż muzyka. Czasami ustawiałam palce w ten sposób, jakby grały na klawiaturze. Grywałam nieme koncerty, niemo komponowałam. Tego nikt nie mógł mi zabronić, nawet oni... Milczenie, milczenie... Tak mogłabym opisać każdy dzień w tej klitce. Milczeliśmy o każdej porze dnia, obawiając się uzewnętrznicić nasze myśli. Stanowiły one teraz sekrety umysłu każdego z nas, tylko czasami dłonie spletały się pod stołem w solidarnym uścisku, jakby pragnęły krzyknąć: „to niedługo się skończy!”. Owo milczenie chroniło nas nawzajem, ponieważ obawialiśmy się, że słowa mogą nas jeszcze bardziej skrzywdzić.

Do 1943 roku udało się nam jakoś wytrzymać w naszej klitce. Aż do pewnego ciepłego październikowego dnia, który jak zwykle ubrany był w milczenie. Po dziś dzień nie wiem, czy ktoś nas zadenuncjował, czy był to po prostu zwykły przypadek. Ciszę, którą oswajałam już od tylu niemych dni, przerwało nagle przerażające szczekanie wilczurów i odgłos ciężkich esesmańskich buciorów. Ojciec szarpnął mnie mocno za rękę:

- Helenko, ubierz się szybko, „nakryli” nas!

Podtrzymałam omdlałą ze strachu matkę. Zastanawiam się, czy możliwe jest zmierzenie klęski nadziei? Nie, moja nadzieja wtedy nie umarła, dalej żyła, jak ja, skulona w kłębek. Na cóż byłam im potrzebna? Ja zwykła młoda dziewczyna, rzucona w wir wojny? Czy coś by utracili, gdyby pozwolili mi przeżyć?

A tymczasem oficer w esesmańskim mundurze i wysokich butach z cholewami przeniósł nas błyskawicznie w inny świat:

- Alles heraus! Nic wam nie zrobimy, przydzielamy was do pracy. Schneller, wykonujcie posłusznie rozkazy!

- Może to prawda? – uczepliłam się wtedy tejże nadziei.

Posłusznie wsiadłyśmy do ciężarówki, a tatko wciąż powtarzał jak modlitwę: „Wir sind Polen, wir sind alle Polen. Wir haben Papieren”. Oficer powtarzał słowa tatusia, przedrzeźniając go i śmiejąc się jak z najlepszego żartu. Niebawem wypakowano nas z tej ciężarówki. Znaleźliśmy się na Umschlagplatzu. Przykucnęłam na betonie, delektując się jego ciepłem, jedyną dogodnością, jaka mnie dotąd spotkała. Spoglądałam na ten tłum i próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie:

- Jest nas tyyyyyyyyle! W jaki sposób oni mieliby nas wszystkich zamordować?

I niebawem odpowiadałam sobie sama:

- Przecież to technicznie trudne do pojęcia!

Gwizd nadjeżdżającej lokomotywy przerwał nagle moje myśli. Wtem znaleźliśmy się w przepełnionym wagonie bydłecym. Ludzie przepychali się łokciami, starając się znaleźć najdogodniejsze dla siebie miejsce. Każdy walczył o miejsce obok małego zabitego kratami okienka. Najsilniejszym udawało się przechwycić butelki z wodą, które wrzucali po drodze litościwi Polacy. Ja...byłam tam, wdychałam oddech tamtych ludzi, słyszałam ich jęki, krzyki, czułam zapach ich potu... Nagle pociąg stanął. Była noc, niebo rozgwieżdżone nie zdołało ochronić nas swoją ciemnością.

- Aussteigen! – usłyszeliśmy.

Odplombowano wagony. Poczułam wreszcie dopływ świeżego powietrza. Moim oczom ukazała się brama i wielki napis: „Arbeit macht frei”. Ludzie gwałtownie przepychali się do wyjścia. Upadłam. Wtedy ktoś podeptał mi twarz, oczy, nos. Zaczęłam walczyć, rozpychać się łokciami, jak tamci, wyrывая się nadludzką siłą z tego stosu. Wyrwałam komuś sweter i okryłam się nim. Udało się, wreszcie wydostałam się na zewnątrz. Trzymałam mocno rodziców za rękę. Staliśmy po kolana w błocie. Czułam, że zapadam się w nieznaną otchłań. Tymczasem Niemcy oddzielali siłą kobiety od mężczyzn. Rozpoczęła się selekcja. Prawo-lewo, prawo-lewo. Gdy nadeszła moja kolej, nakazano mi udać się na prawo. Nie wiedziałam wtedy, że wskazano mi życie. Rodzice poszli w przeciwnym kierunku. Patrzyłam na nich odchodzących w nieznanie miejsce. Nasz oczy spotkały się... Po raz ostatni.

Pani Helena zawiesiła głos, który ugrzązł jej w gardle. Zasłoniła twarz rękoma i zaszlochała cicho.

- Wody, wody – krzyknęła pośpiesznie reporterka. – Mrs Helen, możemy przerwać nasz reportaż. Proszę się uspokoić...

Staruszka otarła łzy i dała znak dłonią, żeby kontynuować:

- Niebawem los uśmiechnął się do mnie. Podczas selekcji zobaczyłam nie tylko w oddali ogromną łunę. Częścią tego miejsca byli również ogoleni mężczyźni, przechwytyjący nasze bagaże. Nagle stała się rzecz niesłychana. Zaczęłam krzyzczeć i tańczyć z radości:

- Józiu! Mój Józiu!

W dziwnym mężczyźnie w pasiaku dostrzegłam mojego wielbiciela. Na mój widok on zamarł, po czym oboje rzuciliśmy się w sobie w ramiona. Ściskaliśmy się i całowaliśmy na przemian.

- Rób co ci każą, z nikim nie rozmawiaj i nie zwracaj na siebie uwagi – otrzymałam od niego instrukcje.

Wkrótce nasze ręce rozłączyły się. Moją rzeczywistością stały się rzędy murowanych baraków, wieże wartownicze i druty kolczaste naładowane prądem oraz dziwne postacie o zgolonych włosach, w odzieży bez koloru, w zabłoconych, olbrzymich, drewniakach na nogach. Niebawem stałam się jedną z takich postaci. Józiu szmuglował dla mnie jedzenie i dostarczał przez opłaconego kapo. Wiedziałam „pocztą pantoflową”, że ma tutaj układy. Pewnego dnia ten sam kapo szepnął mi, że Józiu załatwił mi pracę. Przydzielono mnie do Kanady, miałam zajmować się sortowaniem rzeczy nowoprzybyłych więźniów. Na rampie wciąż przybywali ludzie, zwożeni z całej Europy. Natrafiałam na nich codziennie. Oni prowadzeni do gazu, ja w odwrotnym kierunku, idąca do „lekkiej pracy”, do Kanady, sortować rzeczy po nich.

Wkrótce nadszedł ten dzień, w którym zmieniło się wszystko. Tego dnia panował dziwny zamęt. Kapo zapytała nieoczekiwanie:

- Czy któraś z was jakiś talent ma?

Słyszając to pytanie zamknęłam oczy. Zobaczyłam siebie w muślinowej, purpurowej sukni wyszywanej złotem, siedzącą z gracją przy fortepianie i grającą Mozarta w pałacowym salonie. Mama w wytwornej sukni pije szampana, Schulzowie właśnie przyszli na popołudniową herbatkę, ojciec z zaangażowaniem omawia sprawy zawodowe, a mnie obserwują zakochane oczy Józia... To było przed wojną... w innym życiu...

- Jestem pianistką! - zdziwiona usłyszałam swój głos.

Kapo wolnym krokiem podeszła do mnie, złapała mnie mocno za buzię i obejrzała dokładnie:

- Młoda i ładna, dobrze, bardzo dobrze... - zaśmiała się cynicznie. - Wieczorem włożysz elegancką suknię i zagrasz dla Obersturmbannführera Hermana von Grese. Pan oficer obchodzi dzisiaj swoje urodziny.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy kazano mi włożyć na siebie błękitną, koronkową suknię z głębokim dekoltem obszytym tysiącami skrzących się diamentików. Toaleta pochodziła z Kanady, wiem to, natknęłam się na nią podczas sortowania. Kogo okradli z uczuć i planów, czyja była wcześniej ta suknia? Poczulałam wielki wstyd, jakbym przywłaszczała czyjeś marzenia...

Przyjęcie odbyło się wieczorem. Przepychu, jaki tam panował nie sposób opisać słowami. Byłam już przyzwyczajona oglądać przyjęcia wydawane na cześć mego ojca w Krakowie. Jednakże te przyćmiło wszystkie dotychczas oglądane. Na półmisach ze szczerego złota wnoszono coraz to nowe potrawy: pachnące kaczki z jabłkami, gicze cielece, kurczaki, wieprzowinę... Strumieniami lał się szampan... Marcepanowe torty przybrały postać Führera, a na maluteńkich, lukrowanych ciasteczkach widniały imiona i nazwiska zaproszonych gości.

Wolnym krokiem podeszłam do pianina. Nie, nie czułam zdenerwowania. Musnęłam z czułością klawiaturę. Zamknęłam oczy. Tak dawno nie grałam, nie

było mi dane. Zaczęłam grać... Grałam tak pięknie, wzruszająco. Oczy miałam cały czas zamknięte. Pod powiekami widziałam mojego ojca, zakopanego w adwokackich papierach, mamę obcinającą róże w ogrodzie. Czułam jak obserwują mnie zachwycone oczy. Spojrzałam na widownię. Zamiast brązowych oczu Józia patrzyły na mnie bładoniebieskie... Kiedy skończyłam grać, zerwała się burza oklasków.

- Bravo! - krzyczeli zachwyceni esesmani, a jeden z nich rzucił mi pod nogi bukiet czerwonych róż.

Kiedy podniosłam kwiaty, zobaczyłam przez sobą właściciela bładoniebieskich oczu. Szybko odwróciłam wzrok, jednak poczułam, że jestem nadal obserwowana. Następnego dnia, zostałam wezwana do gabinetu i ujrzałam znów wzrok bładoniebieskich oczu.

- Wyczyść mój mundur - wydał mi krótkie polecenie szorstkim głosem.

Posłusznie spełniałam jego prośbę. Nie patrzyłam na niego, jednak byłam przekonana, że bładoniebieskie oczy przyglądają mi się. Nazajutrz zobaczyłam go znowu. Przybył do naszego komanda pod byle jakim pretekstem. Oczywiście już wtedy domyślałam się, że zainteresował się mną. Kolejny dzień znowu przyniósł niespodziankę. Kapo wezwała mnie nagle:

- Numer 45632 do gabinetu Obersturmbannführera Hermana von Grese.

Serce biło mi jak oszalałe, kiedy przekraczałam próg słabo oświetlonego, pachnącego wodą kolońską pokoju. On stał odwrócony tyłem. Jego młoda sylwetka była ledwo dostrzegalna pośród mroku, jaki tam panował. Naraz odwrócił się i patrząc mi w oczy pogłodził mój policzek. Wciągnęłam powietrze.

- Zostaw mnie! Nie waż się dotykać - krzyknęłam naraz. Niemiec cofnął się zdumiony.

- Odejdź - rzucił cierpko.

Kolejne dni stanowiły dla mnie ogromne zaskoczenie. Na przemian otrzymywałam dodatkowe racje jedzenia, pochodzące od Józia i niemieckie czekoladki. Kobiety patrzyły na mnie z nienawiścią i zazdrością. Jedna z nich, wyjątkowo urodziwa, rzuciła pewnego razu:

- Gdybym przybyła przed tobą, Herman von Grese zakochałby się we mnie!

Puściłam tę uwagę pomimo uszu. Kulminacja zazdrości kobiet w baraku miała miejsce pewnej księżycowej nocy, kiedy kapo podeszła do mnie i krzyknęła na całe gardło:

- Herr Obersturmführer życzy sobie widzieć cię.

Nogi ugięły się pode mną. Ale już nie ze strachu. Czyżbym chciała go zobaczyć? Zaprowadzono mnie do esesmańskiego salonu. Jakież było moje zdziwienie, widząc w nim wielki fortepian. W pomieszczeniu nie było nikogo, prócz niego. Stał tam dumny, wyprostowany niczym grecki bóg. Jego bładoniebieskie spojrzenie wodziło za mną z zachwytem.

- Graj, Heleno, graj tylko dla mnie.

Usiadałam nieśmiało przy instrumencie. Dotknęłam delikatnie klawiszy. Uwolniłam pierwszy ton. Kolejne następne popłynęły niczym Wisła, którą podziwiałam przed wojną. Zagrałam „Requiem” Mozarta. Zamknęłam oczy, a moje ręce grały każdy kadr z mojego życia: śmiech w ogrodowej altanie, kiedy zrywała róże, wieczorne rozmowy z ojcem, upajanie się muzyką, zapach cytrynowych ciasteczek, długie spacery po Krakowie. A potem wojna, ciemność. Grałam szybko, energicznie, nerwowo... Dźwięki przerażały swoją dobitnością, każdy z nich oddawał ból i tragedię, jaka dotknęła moją rodzinę. A potem cisza, moje palce przestały uderzać w klawisze. Milczał cały świat wokół mnie. Spojrzałam na moją widownię. Bładoniebieskie oczy były mokre od łez.

- Heleno, zakochałem się w tobie – rzekł nagle, niespodziewanie, a ja poczułam, że zaraz zemdleję. – Bóg mi świadkiem, nie wiem, kiedy i jak to się stało. Ale kocham cię, kocham całym sercem!

Nastąpiła długa cisza. Chciałam coś powiedzieć, ale gardło miałam ściśnięte z nadmiaru emocji.

- Ty też mnie kochasz, powiedz to proszę! Jego nie możesz kochać, nie wolno ci.

Spojrzałam na niego przerażona. Przecież nie mógł dowiedzieć się o Józiu.

- Zdobywa dla ciebie jedzenie, wiem o tym. Ale to mnie kochasz. Widzę to w twoim spojrzeniu. On i tak trafi do gazu.

Znowu nastąpiła cisza. A potem naraz krzyknęłam na całe gardło:

- Jeśli mnie kochasz, pomóż mu wydostać się stąd. Proszę...

Popatrzył na mnie tymi swoimi bładoniebieskimi oczyma i złapał mnie za ramiona, jakby chciał nimi potrząsnąć. Zamiast tego jednak objął mnie z całej siły, a jego wargi muskały moje włosy.

- Odejdź, wynoś się do diabła – nagle odepchnął mnie i palcem wskazał drzwi. Posłusznie wyszłam z pokoju, nie oglądając się za siebie...

Tamtej nocy po powrocie do baraku nie zmrużyłam oka, trzęsąc się jak w febrze.

- Nienawidzę go – próbowałam przekonywać siebie, ale z marnym skutkiem. Zamykałam oczy i wciąż słyszałam jego niski głos, zapach jego wody kolońskiej wciąż czułam na swojej skórze...

- Żebym już nigdy nie musiała go oglądać – zaciskałam pięści, a po chwili dodawałam:

- Żeby jeszcze choć raz było dane mi spojrzeć w jego bładoniebieskie oczy... Żebym mogła zobaczyć go jeszcze jeden raz...

Ale ten moment nie nadchodził... Tymczasem przyszła zima. Wtedy, w czterdziestym piątym, zupełnie opuściła mnie nadzieja, że to się może kiedyś skończyć. Godziłam się ze swym losem, biernie czekając na kolejne rozkazy tutej-

szych „panów życia i śmierci”. Część mnie chciała jednak zostać w tym miejscu na zawsze. Rozpaczliwie pragnęłam być wezwana do gabinetu Obersturmbannführera Hermana von Grese Ale wezwanie nie nadchodziło. Przychodziły za to regularnie liściki od Józia, a wraz z nimi dodatkowe porcje chleba. Jednak i one z czasem przestały przychodzić. Nie wiedziałam, co dzieje się z moim przyjacielem z dziecięcych lat. Uczepiłam się nadziei, że został przeniesiony do innego obozu.

Pewnego styczniowego poranka zostałam wezwana przez kapo. Serce skoczyło mi do gardła. Tak bardzo marzyłam o komendzie „do gabinetu”, jednak w zamian za to, strażniczka podała mi małe zawiniątko i list. Drżącymi rękoma zaczęłam czytać pachnący wodą kolońską kawałek papieru, napisany równiutkim pismem: „Ukochana, armia niemiecka wycofuje się. Niebawem wkroczą tu Rosjanie. Zostawiam Ci kozuch i parę solidnych butów. Kocham Cię. Na zawsze Twój Herman”. Przycisnęłam list do serca. Gorąca fala zalała moje ciało. Chciałam żyć, tak bardzo chciałam żyć. Zamknęłam oczy i wydawało mi się, że tonę w jego bładoniebieskim spojrzeniu... Jednak kiedy je otworzyłam, moje spojrzenie padło na konające z bólu więźniarki. Wyszłam przed barak i to, co zobaczyłam wprawiło mnie w osłupienie. Na bieluteńkim śniegu, paliło się ogromne ognisko. Ale już nie ludzi. Płonęły dokumenty, papiery, pieczętki. Naziści zacierali ślady masowego ludobójstwa. Niebawem kazano ustawić się nam w kolumnie i nakazano wymarsz. Dziękowałam w głębi duszy za ciepłe kozaki, które grzały mi stopy. Szłam wśród tych ludzi. Ale nie czułam zimna. Moje serce rozpałał ogień. Miłość i nienawiść kłóciły się ze sobą. Zamykałam oczy i widziałam twarz Hermana, kiedy wyznawał mi miłość, a za chwilę stawały mi przed oczyma tragiczne obrazy z obozu.

Tymczasem Niemcy wlekli nas półżywych po oblodzonych drogach, aż dotarliśmy do stacji kolejowej w Loeslau. Znów przyszło mi podróżować w ciasnym i śmierdzącym wagonie, tym razem bez dachu. Pociąg zawiózł nas do Ravensbruck. Tam rozkazano nam wystawać godzinę na porannym apelu z rękoma uniesionymi w górę. Wszystkie kończyny bolały mnie niemiłosiernie. Do tego dochodził niemal zwierzęcy głód. Siedem dni nie dawano nam bowiem nic do jedzenia. Przydzielono nam baraki, w których „podłoga” pokryta była lodem. Nocami wymykałam się z nich, jadłam i piłam śnieg oraz myłam nim twarz. Po dwóch tygodniach zebrano nas w kolumnę, dokładnie policzono i rozkazano wymarsz. Stamtąd wsiedliśmy do pociągu, tym razem osobowego. Pierwszy raz od wybuchu wojny potraktowano nas jak ludzi.

Gdy wysiadałam z wagonu usłyszałam:

- Aussteigen Sie bitte!

Słowo „bitte” natchnęło mnie nadzieją, że koniec jest już blizutko. Muszę wytrzymać. Muszę przetrwać. Tymczasem dojechaliśmy do Neustadt Glewe.

Luty 1945 roku pozostawał wyjątkowo mroźny, w barakach panowała wszawica i tyfus. Ostatnie porcje spleśniałego od środka chleba odmierzaliśmy sznurkiem. Aż nadszedł 3 maja 1945 roku. Rankiem zobaczyłam, jak przebrani po cywilnemu esesmani załadowali się na ciężarówkę i odjechali. Tak po prostu. Brama obozu była otwarta. Byliśmy wolni...

- Pewnie oszalała pani ze szczęścia? – wtrąciła nagle reporterka, na co pani Helena uśmiechnęła się lekko:

- Wie pani, ja już po prostu nie miałam siły się cieszyć. Lata po wojnie były wyjątkowo trudne. Okazało się, że nikt nie przeżył z mojej rodziny. Nikt...

CISZA

Przez lata bezskutecznie szukałam Józia. Próbowalam odbudować swoje życie. Ukończyłam Akademię Muzyczną i zatrudniłam się jako pianistka w operze. Jednak zawsze grając „Requiem” Mozarta miałam wrażenie, że obserwują mnie bładoniebieskie oczy. Jego właściciela nie było mi już nigdy dane zobaczyć. Dowiedziałam się, że zginął w niewoli radzieckiej. W moim sercu żyje jednak po dziś dzień. Niebawem zaczęłam odnosić sukcesy jako pianistka. Wyjechałam na tournée do Nowego Jorku.

- A co z Józkiem? – zapytała reporterka.

Starsza pani uśmiechnęła się, przesuwając złotą obrączkę na palcu.

- Wie pani, złączył nas znowu przypadek, a właściwie młodzieńcza obietnica. Przecież myśmymy sobie przyrzekali, że po latach spotkamy się nad Wisłą. Więc nie mając właściwie nadziei, przyszedłam nad tę rzekę po latach. A tam czekał na mnie mężczyzna z ogromnym bukietem róż. Jego twarz „zdobiła” wielka blizna, a brązowe oczy wodziły za mną znajomo.

- Helenko, moja najdroższa – wyszeptał, a ja wpadałam mu w ramiona.

- Mój Boże, jak udało ci się przeżyć? – pytałam wtedy, a on na to:

- Cud, Helenko, cud. Niejaki Herman von Grese załatwił mi zwolnienie. Oni już zupełnie powariowali, nic z tego nie rozumiem, ale jestem wdzięczny temu Niemcowi.

Serce skoczyło mi do gardła, a policzek oblał się rumieńcem. Odwróciłam głowę i spojrzałam w stronę Wisły. Rzeka płynęła nieustannie, falowała niczym kokarda na wietrze. A jej barwa przybrała kolor bładoniebieski jak tamte oczy, które przyglądały mi się z zachwytem...

Reporterka chwyciła rękę staruszki. Była lodowata. Światła zgasły, a w studio nastała cisza.



NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO
HANNA MAKURAT-SNUZIK

WSZECHSTOLEMNOSC BÒGA

Bóg ni mòże pòblãdzëc w pòznanim,
nawetka jeżlë sã zestarzôł. Pò pierszé,
mò Òn nômòcniészã wiedzã na ténã tegò,
czegò nìcht sã donãdka nigdë nie dowiedzôł.
Wié ò se, że je. Jesz do te nimò pòwòznëch
lat stale rozmije wëwolëwac deszcz.
Òkróm tegò wcyg mò wëczëcé swiãtégò
czasu i je naladowóny znacznkòwò.
Dozérò dëszëczczì
kwiatów i sòm ùsadzyl słuńce,
jaczë je symbòlã dobra. Òno dali
jistnieje, a Òn nie wzał sã z przëtròfkù.
Je wszechmòglim gatënkã,
chòc wëdówò sã, że mòglbë bëc w sztãdze
stwòrzëc taczì kam, chtërnégò sòm nie pòdniesie.
Tim barzi mòże bëc wszechwładny.
W nym szëkù më to równak jesmë
mòlé përzënë, dzinącë na pòlach smiercë.
Stale trzeba nama ksãgów miłosërdzégò,
nawetka jeżlë mëslimë,
że jesmë chwacëłë Bòga za nodzi. Niech më
sã le zbùcnimë z jawernotã,
niech skąpiemë sã w trëchlënie.
Nadto nót je nóm przëznac, że czejbë Òn chcòł,
mòglbë zasztëkac przed nama nieskùńczonosc
jakno jì absolutnò przëczëna
i pierszi pòrëszëcël. Tak czë jinaczi
leno Bóg, chtëren cerpiòł,
mòże nama coskòlwiëk dac abò wëbaczëc.

KĄSYWANIÉ I KAWAŁKÒWANIÉ KWIATÓW

Jem widzôł, jak na wòjnie kàsëłë
i kawalkòwelë kwiatë,
pò tim paralizowelë je gazã
i ùkłòdelë do grobów pòzbawioné farwów.
Jem widzôł zło, chtërno nie bëło martwé,
wcyg pòdtrëmiwóné na dëchù.
W naczidłim strachù zdëszony
nawetka wid stracył swòjã gòdnosc.
A skrëtò przed cerpieniem
mòja smierc leża na slédnym drożëszczu
w winnym pòlu.
Òkrutno môłi jò ził co nôwëzi 4 lata.
Wsadzëlë mie pòłce głàbòk w mòje nozdra
i ùgardlëlë. Związelë wòlnotã i masã słuńca,
cobë òne nie swiecëlë nòdzejã.
Zasztëkelë przede mnã òdrãbiony swiat,
a òsoblëwò place ùbëtkù.
Tej-nisej wëpùscywelë czòrné pszczolë,
bë te bezzãbnyma szczãkama
wësusałë biòłosc niewãtplëwã.
Rãbelë mòjã człowieczëznã pòd scanã rëków.
Jesz do te òni bëłë nazéwóny lëdzama.
Ti, chtërny wcëskelë coròz mòcni swé paleczniczi
w mòje slëpia, jãz pòłala sã
krëwiò i smierc, jakò zatopiła mój płacz w trëchlënie.

ÒTEMKŁI LĚST DO CZŁOWIEKA W SPRAWIE WÒLNOTĚ

Jô zazdrzóny dalek,
wëdzarti i zlóny łzama głãbòk,
ò wòlnoce cĕ gòdóm, mój Człowiekù.
Zapĕtôj sã, dlôcze òdeszła.
Doždżĕ na òdpòwiĕsc. Pòmĕslĕ ò niepòdległi
i rzeczĕ, że jã kòchòsz. Dopùscĕ,
cobĕ lała sã widã,
niech wicy jã nie bòli, wĕtrzi ji serce.
Zrobi to w nòlepszi wierze,
bĕ bĕła niesmiertelnô jak wãps ksãżĕca.
Wĕgrzeb jã z kòszmarów swiãtã,
nawetka jezlĕ nieprzĕtomnã.
Niech zemia jã òbòdzi.
Pùscĕ jã wòlno i pòcĕsni do przòdkù,
niech nauczĭ sã chòdzĕc pò mòrzim czasów –
tej-nisej niech ùrosce centiméter,
a w drĕdżim akce niech zapùscy brodã
temù, cobĕ nie ùmierãła młodo.
Nie òblĕkôj ji za casnĕch bótów,
bò pòlegnie razã z wiatrã
w scĕsnym bezszĕkù i beznòdzeji stòri.
Wĕslĕ do ni anioła wachtòrza
nòbarzi spòkójnégo, niech mô starã,
cobĕ òna wiedno bĕła doma,
cygnionô przez wieczy i miliònĕ lat,
mòckò przĕcwierdzonô do serca wszechswiata,
Mój Człowiekù, nie bãdżĕ zgòdã, cobĕ òna ùsnãła
pòd pòwiekama historii –
wòlnota pròwdã pòswiãconô.

SMĀTWA

Småtwa to nôgòrszi cząd żęcô,
cëzy kù reszce téż dlô siebie. Òsoblëwò,
czej zalóny kapką deszczu z kòpalni
płaczu abò z przepadni bezszëkù
i beznòdzeji. Nawetka cwardzélowie
zanurzony w czims tak bòlesnym,
nachòdają swiat blëszczowatim.
Småtwa przepijò czas, a ji pòkrzëk
doprowòdzò do wëceknieniô trëchlënë
z martwëch rzéków tlëczonych
wiatrã, chtëren sã rozklòdò.
Wszëtkò przekrojiwò sã na pół,
cobë pòplënało przez krëwiã.
Ni ma niżòdnëch pòceszeniów.
Przetrzepóné miãsa dëszów
òbsëpiwò sã pòpiołã skùńczeniò,
cobë lepi mòłczałë. Smùtk
jima nawetka pasëje. I wòniò cerpieniò.
Pùsconé lózã ùwiãdlé lëstë
kàsają lëft. Pùstostanë
stówają sã wiòldzé jak grobë Bòga,
pòlącë sã nawetka w zëmnie,
czej småtwe są dozdrzeniałë.
W gòdzënach bólu i cemżë
widzec je trëpiejące gwiòzdë,
chtërne wëklulë sã ze zgaslëch.
Sni sã jima jesén wròblowatò,
òd jaczi wszëtkò sã zaczinò.

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

KRYSTYNA LEWNA

MALĚNCZI

Waleska pòdeszła do swòjgò chłopa i pòda mù rąka. – Jò cě nie chcã! Daj na zgòda! – rzełal, chòc to ja wiele kòszta. Nie lubila nigdė przeproszac, ale nazwa gò Shreka i terò ji za to bëło nijak. Òn sa òbrazyl i do ni nie òdzywòł. Ta glėchòta nie bla w ji nėtrze. Òna lubila, czė òn do ni gòdòł. Te wiedno sã mògła czegòsz dowiedzec abò pòsztridowac, abò pòsmiòc a i sama mògła mù cosz rzec ò rozmaitėch lėdzach, sprawach i snieniach... terò òn zaniemówiòł i to ji sã nie widza.

– Tė nawetka nie mòżesz rėchti przėproszėc! – òdezwòł sã i trzas dwėrzama. W dómie jes czėła, że òn mrėczòł: „Jò cě nie chcã. Co, to mò bėc?”

– Ò co mù mògło jisc? – zastanowia sã i żalowa, że w ògòle pòdja tema. – Mòże òn kògos mò? – mėslela i terò ta mėsł stowa sã dla ni wikszim ùtrapieniem niź to, że òn do ni nie gòdòł.

Zrobila sa kawa. Sadla i òbzyrò malėnczi sėna. Na kòzdim widzi prawie jednakówėch dwòje lėdzy; chłopa i bialka. Chłop je pòmalowòny na szaro, a bialka mò cemnozėlonė czitle i wiòldzy nos. Klate w farwie czwikle i niepropòrcjonalniė dludzie pùte do reszte cala. Jednak nie chwòto nikògò i nick. Stoji blòs z tėma rozłożonėmė rākame i zabirò plac chłopù, bò ten je czėsto malinczi i w nòrce.

Zacekawionò pitò sã dzecka ò co tu jidze na nėch òbrozkach. Ten nie zwròcò na nia ùwadzi. Szmagreje swòja bialka i chłopa. Derch wkòł to samò, jakbė robiòł òdimnczi tėch pòstacėjów.

– Nie mòżesz òdpòwiedzec? – zdenerwòwa sã bialka i rzekla, że òn je jak jegò tatł, tak samò frech i drejbastich.

– Kò to jes tė, a to tatł! – pòkòzòł knòp i dali szmagrowòł nėma sameme krėdkamė swòje malėnczi.

– Jò?! – zdziwionò rzekla Waleska i pòdeszła do szpėgła – kò jò doch tak nie wėzdrza? Spita sã jakbė se, ale żda na òdpòwiedz knòpa, chtėrėn mògbė sã wėtlumaczėc z tegò, co widzi i namalowòł. Ten nick. Nie òtemk pėska. Nie

dół ùbachte na mùter. Ta zos sã przëzyro to gãbie, to rãkóm i pòdchòdo do knòpa. – Zdrze, kò jò doch rãce móm taczë jak trzeba, a na twòjech malënkach òne sã dleksze i niepropòrcjonalné, jakbë nij lëdzcze, a jaczész pazurë, chtërnë zagarinają całë left ti drëdzy pòstaceji – tacé.

– Jò nie wim! – òdpòwiedzòł knòp i nawetka nie pòdniós lëpa znad kòrtczy.

Waleska sã zdenerowa. – Jak tã nie wisz, a szmagréjesz to cali prawie dzén! Dzyse je sobòta, tã bë sa lepi lóz na bùten a nen lëp przewietrzò! – rzekła.

– Pò co jò móm lezc bùten, jak jò móm robota jinnò!

– Co za robòta tã mòsz? Czë ce jidze ò no szmagrowani? Kò to doch nie je robòta, a marnowani czasu? – rzekła z wiëldzim pòirutowania bialka, co cali czas mia przed sobóm ne malënczi.

– Co ten mie za pùtë wremiò! Mòli, frechòwny gówniòrz! Tlëkło ji sã pò lëpie i zos sã pòdniosła i òbzyta swòje òdbice w szpégłu. W nim z drëdzie jizbë czëje jãk swòje teściowe, chtërna zos cos òd ni chce.

– Zarë! – zmrecza frech Waleska i òtemkła dwërze. – Co zos? – spita sã stòré, leżacé bialczy, chtërna chcą wòdë do pice.

– Mòce! – òdbùrkna Waleska i pòda taska. Zarë tesz zamkła za sobą dwërze. Nie chca òbzerac swòje teściowe, chtërny gnote zmitkle i terò zalegò na lózkù w jedni z dwóch jizbów.

– Czebë ta stòrò sã zdecydowa na smierc – marzëła Waleska – te nama wszëtczima bëlobë lepi. Jedna jizba wici do knòpa, a tak më sã grózdzi më ani w ta, ani wewta strona. Wszëtkò zastawioné; tu zòfa, tam fotel, mòli stół... Czë, chto widzòł, abë człowiek jòd derch prze mòlim stole. Zgrózdżony. Z żelãdka na kòłanach. Jakbë më bële jaczész kròsniãta. Derch prze mòlim stole, na zëclu z lëżką nad talerza. Ani sã nie wëproszczisz, ani nic. Zypa ce sã leje pò brodze, szëji... To nie je w pòrządkù, żebë czworo lëdzy żëło w taczi kluzi.

Jakbë òna mògła ne scanë przesenąc, te wëpchlabë je ò całë 20 mètrów, a tak sédzi w ni klotce i mùsi ùdawac, że wszëtcë tak mają. To nie bla prawda; wszëtcë tak nie mają. Lëdze zëją lepi, jinaczi, ale òna, Waleska mùsi tu bëc i kãzdegò dnia zbierac z kùchnie cwiardi materac, na chtërnim spi sin. Mùsi gò pòdniesc i zaniesc w mòli dóm. Postawić równo i przërzeszec pòwroza, żebë nie spòd. Mùsi téz wząc jegò pierznë i zaniesc w jizba. Tam za zòfą mò stółk, na chtërnim ùklòdò wszëtkò w jak nòmiszo kòstka, jakò sã dò. Pòzni rzuco na to deka, żebë sã nie kùrzëło, żebë to jakòsz wëzdrza, cze chto wlecy. Co za mistërnë ùklòdani zëca. Wszëtkò w ji rãkach, biédne Walecszi, co sã zdecydowa chòrą teszczową òpiekówac.

– Czemù prawie òna? – zadòwa so no pitanie i nie naloża zòdne òdpòwiedze. Òna, Waleska, chtërna ni mò nawetka placu, żebë sa z chłopa kòchac. Cali czas mùsi ùwazac, pilnowac i bëc sztel, nawetka te, cze w nocnim, milotnim ùniesieniu chcabë wrzëszczec. `Òduczëła sã tegò. Nauczëła sã cëchòscë jak mész,

co leno òpasėje. Żòdnëch nielëdzczëch, a móże prawie lëdzczëch òdgłosów, co pòmógają lepi žëc. Pòprowiają czëcé... Co ji przëszło do głowë, żebë sã gòdzëc na ta wieczno ùdràka? Żebë sa nà stòrą zajac! Ale chłop ja pòdszed. Rzek, że mùter na pewno nie bdze długò żëła, że z nią je lëchò, że òni sa ùrządzą... A ta žëje i žëje, jakbë zabëła ò ùmieraniu. A to doch nie je nick taczëgò, zamikòsz òczë i lëzesz. Gdze? Tegò nicht nie wi? Ale lëzesz. Jes wek. Z òci. Pòzni sã gòdò, że ùmarla i bëła dobrò. Pòzni sã jesz rzecze, że òna wiele do nas znacëła, że je smùtno i cëchò, ale to le sã tak rzecze. 'Òstónie jizba. Wëmaleje sã scanë. Knòp nie bdze mùszòl spac na pòdlòdze. Bdze miòl jak jinsze dzecë, swòj sztek swiata i to wszëtkò. Czë to je tak wiele? Na mój rozëm nij! Kòzdi móże miec swòja jizba. Swòj kąt. Mòli sztek žëca, ale tu zalegò òna, stòrò, chòrò bialka, chtërna nikòmù nie je pòtrzebò, chtërnë nicht tu nie chce. Căzar žëca. Ùdràka i kłòpòt.

Waleska sã òdwrócëła do knòpa, chtëren niezmòrdowòny robiòl swòje malënczi.

– Wielgò bialka z wieldziema pùtamë – pòwtorza sa w mëslach, jakbë to bëło jaczimsz dlò ni tokla. Kim òna je? Kò òna doch sã wëchòwa w cëchi chëci. Dalek òd tegò wiòldzygò toklu i jiwru lëdzczëgò. Cédzëch kłòpòtów, pòtu i lżów. Òna żëła cëchò. Mòdreczi i jarzebina ji sã klonialë i òna, Waleska, szlank i bëstrò przëzyra sã jima z ùwagą. Móże nie blo wszëtczëgò, co òna bë sa zażëcza. Móże no chleba szmaka bë jinaczi, czëbë bëło czimsz òbłożoné, ale bëło cëplo i dobrze. Pòzni przëlòz òn, ji chłop i rzek, że mù sã widzy. Waleska wzëra na niegò i na òbròz z Matką Bòską Òstrobramską, za chtërna bëła włożono pòswiãconò kròtka i sa pòmëszla, że to je jakò nòdzeja, że ju nie bdze blòs z kwiatame gòda.

Òbezdrza sa chłopà dokładno. Sprowdza czë, abë òn mocny i nie chòri, bò za chòrëgò, bë sã nie da wcale. Chòri je slabi i nie do radë z žëca, a zdrów, to je wëbawieni, nodzeja i lepsze žëce. Cze sa zdecydowa i rzekla no: „jo, jò ce chcã!”, te ju klamka zapadla i òna bëła nij blòs Waleską, ale Waleską żenialò.

Dzysò sédzy i sã zastanowiò, czëmù to ji tak szło, a chłop ji wiedno gòdò, że òna z marnëgò chëczu pòchòdo, że co òna bë znacza bez niegò? Tak bënomi mò swòj kąt i dzeckò i žëce.

Waleska sã z tim nie zgòdza. Mia gdzës te wszëtczë fante. Chcą žëc i czëc, że žëje. Czaa, jednak sã lapa na tim, że sã sama òszëkuje, że sama sã wëbra droga z jednym szpóra i terë mùszì tak bëc. Ale czëmù òna, Waleska? Fòrsz i szlank bialka, chtërna bë mògla miec każdegò? Tu zascygna sã na sztucek i zasroma, bò ni mia doch nikògò. Ji chłop bël jeden i jedény, chtërny tam przëlòz i ja wżà. Ni mòglabë rzec, że chtos sã za nią staròl czë zabiegòl ò nia, ale òna doch czëła, że na pewno bë chtos jesz przëlòz do nich na pùstczì? Tu sã chwota sama w swoja znónò sobie dobrze jìgra i sã zare wëcopiwa i zaczina òd pòczàtkù, że na pewno bë chtos sã ò nia dopòmìniòl, ale òna doch nie mia czasu. Terò je

pani. Fejn w blokù. Sztek wiéldziégò pegerowszégò szczesca ji przepòd w dzélu. Z chòrą teszczową, co ùrobila na ëndzla wëchnianiô, bò chto jinszi mô tak jak òni? Ëndzla blokòwò. Serce wšë. Westrzód pòdzélony na pól przez nen bùdink, chtërën sa prostim Kaszëbóm wëdówòl czimsz cézim i kòjarzol ze zgniléma lëdzame. To bë sa mògło zgadzac, bò ona, Waleska, przez wikszosc dnia sédza na swòim placu i zdrza na zédzier, jakbë òn miòl ji cos do òpòwiedzenia, jakbë bël wòzi. Kòzde jegò téknienie, to bëla ji pòrta do lepszégò zëca.

Z ji jiwrów wërwa ją trzasniené dwërzów. Do chëczów wlòz chłop, chtërën bël òbrażony. Òna òdwrócëla lëp i mù rzekla, że to zëce to nie je zëce, le piekło i że òna, Waleska, sã na to nie gòdzy, bò ji sã cos wicy nôlëżi; móże jaciesz jine zëce, lepsze, fùl przigòdów... Ji gòdani przëzwòl dzwàk telefónë. Dzwòni ji mùter i ji wëklòdò, ò co chòdzy w nym wszëtczim; że to nie je pòwiostka, że trzeba sã barzi trzëmac nëch wiéldziéch mòlech sprów i, że òne dowają człowiekòwi spòkój, bò ju wie co i gdzie. Ni mùsi sã denerwòwac i niepòkòjec. Wszëtkò znaje, kòzdi dzëń...

– To mnie prawie jisci, że jò wszëtkò znaja – rzekla scészonym glosa Waleska. Nawetka człowiek ni móże gadac glosno, tak rëchti, jak trzeba. Cali czas mùszisz òpasowac na to, co gòdòsz i jak, zëbë chtos nie pòdslëchòl, zëbë sã nie domiszlòl, że móże tu kòl nas sã dzëje lëchò. Ne papierowé scanë niosą wszëtkò; cze sàsòd chrapie, to tëż më czëjemë i spùszczani wòdë... Wszëtkò. Tacie jakbë wspòlné zëce z cézémé lëdzame, ò chtërnëch wész prawie wszëtkò.

Czasa Waleska mia takò swiàda, że òni w nim blokù są jak ne pùpe w papierowy chëczy, pòwkłòdóné kòzdzò w swój przëgròdk. Kùklë sédzą sztel. Nie rëszają sã. Żdają na zëcodajną rãka dzecka, chtërna je wprawi w rëch. Bdze nima przësywa. Pòmòże sã jima dostac do jinne przëgròdë, a pòzni zos òdstawi na plac.

Chłop sòd sa prze nim mòlim stole. Dzeckò chwòca swòje kòrtczy i pòlòżëło je na pòdłoga. Samò sa legło na brzëchù i zacza dali szmagrowac.

Waleska òbzëra „Kòło fortunë” i zazdroszczëla lëdzóm, chtërnzy zdobiwale tam dëtczi. Òna bë tëż tak chca; zakrãcec kòla zëca i wëgrac jinsze, lepsze i cekawsze. Żëbë to blòs bëło mòżliwe, te òna bë sã nie waha, zarë bë szla i z calé mòcë zakrãcëla, ale to nie blo mòżliwé. Mùsi sédzëc i blòs pòdzëwiac jinnëch, chtërnym, jak ji sã wëdowò, zëce szło rãką.

Ò piąti pò pòlniu nalëwa wòdë do miszci i szla mëc teszczowò. Pòmògòl ji chłop. Dzysò, chòc bël òbrażony, tëż sã zgrzebòl i szed raza z Waleską do jizbë mëmë.

Bialka chca gadac, wëpëtowa sã wiedno swòim letczim i niewiraznym glosa, ale zòdné z nich ji nie òdpòwiòda. Ùdòwalé, że są glëchi. Stòrò bialka, chtërna nie chca ùmrzec, òsta zamkło w swòim chòrim calu. Ni mògła na to nick pòradzëc, chòc czasa ji sã wëdowa, że wëchòdo z niego i widzy wszëtkò, jakbë

z górë. Czasa tëż, i tu nie bla pewnô, co to je; czë sniéni, czë prôwda, wrôcô do swòjch lat przëżëtëch. Pòznowò twòrze, glosë i gòdci. Widzy lëdzy, chtërnëch ju wikszi dzyl nie żëje. Dotikô jich i zabôwiô. Tam, w nym swòim „rëzowaniu”, czëje sã dobrze. Je sobóm. Môże wszëtkò wkól se zrobic. Mô wëlech szpëre i rãce. Je ùsmiono i szczësłëwò. Terô wrócela w se. Waleska meje ji weschle, store calo. Kòzdi nórcek przemiko wilgotno szmata. Sin ja trzimô, żebë nie spadla. Ni môże sama sedzëc. Je stôrô, chòrô i zbrekòwónô. Nic nie znaczącë trëchlo, co sã naprzykrzô jinnim. Sama bë rot ùmarla. Mô ju jaczisz przëdsnak tegò, co ja tam spòtkò. Wëdowò sa ji, że tam bdze prawie tak, jak to sã ji roji w nech ùniesénia. I tegò prawie bë chca. Gòdô ò tim, ale nicht nie òdpòwiôdô. Waleska zabirô czòrny lumpe do praniô, pózni przëchòdo jesz pò miska z wòdà i zamikô stòri dwerze.

Chòrô òsta sama. Wszëtkò ja bòla. Zna to ùcece dobrze; kòzdi gnôt i reszta ji lëdzcégò cala bële jak wielgò grepa piekùncech wãglów. Ni mògla sã pòrëszac. Ni mògla nick z tim zrobic. Zamkle cëpienie ni mia zòdné drodzy do ùjsca. Wszëtkò sedza w ni bene i rozriwa ji sèché calo.

– Stôrô bialka pòwinna ju nie żëc – pòmëslela chòrô i zacza dali przërabiac swój ból. Ten nie òdpuszczòl. Òna wlepila òczë w pòsowa. Zna kòzdi plac tegò òbrozkù. Swòjeme bladëmë òczamë cikrowa na bezzëtne nòrté nad sobà i nie òdnajdowa tam niczégò, wòznégò. W jizbë nie blo nic, czegò òna, stôrô bialka, bë ju ni mia dównò òbezdrzónë; zòden mëbel czë kwiat na gardinie nie ble dlô ni cëze. Zna to wszëtkò tak dokładnie, że sama bë mògla òpisac ne wzoré i dële. Nie wiedza blós, co bëło za gardinà. Jak terô noszà sa lëdze? Nie òbzyra cëzech twòrzów òd wiele lat. Widzy blós Waleska, sena i òd czase do czase negò mòlegò, chtëren nie lubi do ni zazerac. Gòdô, że tam smierdzy, że starka nic nie rozmiejë, że je jakbë nieżëwò.

Stôrô chcabë wëdzrec przez òkno. Òpiarlabë sã ò dërerest i cikrowa. Òbezdrzabë sa wszëtkò; slunce i chmùre, ptoszi i drzewa... wszëtkò, òd czegò je òdnàconô.

Waleska chwòca kòrtka i kredci. Zacza malowac siebie. Naszmagrowa sa dludzi różëwi kléd, pòdkreslela òczë, chtërny, w ji mniemaniu, mia tak piäkne, jak nic i nicht. Òczë mia mòdré, a mòdrosc jich, ò czim bëla przëswiadczonô, wëdobiwa sã z ji dësze. Ùwòża, że mò dobré ùspòsobienie, że je dobro, że je fòrsz i mò piäkne włosë. Dbô ò nie; farbùje sa je dokładnie róż na miesąc lilewą farbà. Lubi ten kolór. Sprowiô òn, że Waleska wëdzrzi młodzy. Czëje sã dobrze w nech swòjch lilewech klatach.

Do pòrtrete domalowa jesz zòlté bùtë na awsecach. Chca, żebë bële zloté, ale nie nalazla taczé kredci.

– Piäkno! – rzekla i pòda senowi òbrozk. – Tak mòsz mie malowac! – nakòza, ale ten wëdzròl i òdpòwiëdzòl, że to nie je prawdzewò òna.

- A co ce sã nibë tu nie zgôdzô? - zapita doceklewie bialka.
- Të tak nie wëzdrzisz!
- Kò może nij czesto tak, ale jô bë chca tak wëzdrzec! - odpòwiedza i chwòca swój malënk. Dokreslela jész na nim kòrona i bëła z se zadowolònô.

Obraziony chłop nie reagòwòł. Sedzòł i wzeròł w telewizòr. Jakbë gò nie blo. Waleska też do niego nie zagadowa. Nie chca ji sã. Òdwtòcela kòrtka i na drëdzi stronie chca namalowac swòjégò slëbnégò. Przëdzrza mù sã z ùwògą i sztekna głowa, òczë, nos. Zauważela, że mò òn òczë jak jegò stòrò, tacze same; za mòle do te wieldzie głowe. Òczë, chtërne pòwinne doch bëc propòrcjonalné do lépa, òn mò za malinczé. Tu sa nawetka pòdsmia z tegò. Zrobilo to ji redota, bò przepòmna sa, że tacze òczë mają swinie. Pòzni zjacha na szëja i zauważela, że ji chłop prawie ni mò karkù. Głowa òsazonò prosto na reszce cala. To zos ja rozbawilo. Malowa dali i sã pòdsméwa. Chłop nie zwròcòł na nia ùwodzi, a ta cze skończela, pòda mù malënk i rzekla: - Të mie wëszed jakbë swinia!

- Wëzdrze sa na se! - odpòwiedzòł chłop - òbacz jak të wëzdrzisz, niepòce babskò!

- Niepòcy to të jes, nij jô! - bronila sã Waleska. - Niepòcy to je twòja rodzëna, chtërna nie jak sã czereje za swòją mùtrą. Nikt tu sã do ni nie dò, a je waji doch szesc sztek. Nicht nie chce stòré òbzerac. Ani Anita, Róman i Zuza... Nicht. Sédzą w swòjech bùdach jak przëszeti. „Zabiegóny” òni gòdają, a to nie je pròwda. Nie mają chące czëc, że mòglebë nas perna òdcązec. A i bòją sã, że mòże më bë gdale ò detkach. Taczi z waji są dobri lëdze! Sóm miód, nick wici. A ta stòrò lezi i żëje. Chrapie i charchòli, jakbë chca ùmrzec, a ni mògła. Przëszetò je do tegò lòzka czë co?

- Chłop pòdniós sã z zòfe i przeniós z kùchnie nóz: - Wez! Bio i ja zabij! Zabij ja i bdze kùnc twòjégò jãczeni! Òdetchniesz sa i odpòczniesz! Bò të doch jes derch mëdech, derch narzekòsz, że mòsz z nią takò era! Wez! - wëmachiwòł ji przed òczama wioldzim knipa, a òna zaniemòwila. Knòp sã pòderwòł i zaczą krzëczec.

- Niezadowolòné babskò! Samò nick z se nie dòwò! Le sedzy i narzekò! - rzek chłop i trzas dwërzame.

Waleska nie rozmia ò co mù szło. Wiëldziégò jiwre i tak nie bla w standze ògarnąc. Pòdniosla sã i zanosla swój malënk do smieców, jakbë to jész też mia bëc prziczina tego wszëtczegò, te òna ju lepi to szmërgnie.



Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU
www.biblioteka.lebork.pl

Rysunki
Zuzanna Lubańska

ISBN 978-83-60731-35-2

Wydano nakładem:
Miasta Lęborka
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Projekt składu i druk
DRUKARNIA BOXPOL
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel./fax 59 842 43 71
e-mail boxpol@post.pl
www.boxpol.pl